Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1883. Rok VI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Z DZIEWICZEGO KRAJU.

PRZEZ

Władysława Czaplickiego.

Sybir! Syberya! Wyraz ten każdego przejmuje przerażeniem i zgrozą. Nietylko my, ale w ogóle Europejczycy, zupełnie błędne mają o Syberyi pojęcia. Żadne z dzieł, jakie czytałem o Syberyi, nie są skreślone o tyle wyczerpująco, ażeby czytającym dały choćby tylko w przybliżeniu wyobrażenie dokładne i wszechstronne o tym dziwnym kraju.

Wszyscy prawie, bo z małymi tylko wyjątkami, malowali nam Syberyę z jednej tylko, a mianowicie najgorszej strony. Nawet takie powagi, jak Aleksander Humboldt, który, jak zapewniano mnie w Syberyi, dojechał tylko do Kazania, podał o Syberyi błędne wiadomości, widoczna bowiem, że pod tym względem opierał się jedynie na tem, co mu powiedziano, a nie znając języka, nie mógł zasięgnąć szczegółów, które byłyby mu dały zupełnie inne przekonanie. Thesby de Belcour, oficer francuski, pojmany podczas konfederacyi Barskiej i zesłany w Sybir, w swoim „Dzienniku“ czyli „Pamiętniku“: Relation ou journal d'un officier français au service de la confédération de Pologne, pris par les Russes et rélegué en Sibirie (Amsterdam 1776), prawie nic nie pisze o Syberyi, a to, co pisze, jest błędne, z nazwiskami tak poprzekręcanemi, że potrzeba znać dobrze ten kraj, ażeby rozpoznać, co napisać chciał autor. Niemal wszyscy dotąd malowali Sybir najciemniejszemi barwami i w najczarniejszem świetle. Ztąd też pochodzi, że każdy niemal Europejczyk wyobraża sobie Syberyę jako kraj pokryty wiecznym i prawie niezgłębionym śniegiem, mróz, wśród którego niepodobna oddychać swobodnie, a nadto, iż kraj ten zaludniony tylko gdzieniegdzie przez dzikich krajowców, albo pospolitych i politycznych przestępców i zbrodniarzy, zmuszonych niemal bezustannie do walki z dzikiemi zwierzętami, pozbawiony jest wszelkiej przyjemności i wszelkich dobrych przymiotów. A jednak, jakież to mylne mniemanie! Kraj ten olbrzymi przeciwnie pełen jest niedającego się opisać uroku i wdzięku tak dalece, że ktokolwiek dłuższy czas przebył w Syberyi, zapisze w pamięci na zawsze dziwnie piękne i miłe wspomnienia.

Według opinii tych, którzy dłuższy czas przebyli w Syberyi, traci się pamięć przeszłości. Opinia ta po części może słuszna. Wszystko tam inne, nie takie, jak u nas. Zmysły i umysł człowieka, tak bardzo zajęte nowością wszystkiego, łatwo, ba chciwie przyjmują przesuwające się im obrazy i tem samem poczęści zacierają pamięć przeszłości. Ależ bo wszystko, wszystko tam inne! Klimat inny, inne lato, inna zima, nie ma tam prawie zupełnie ni jesieni, ni wiosny. Śnieg pada tylko na początku, a rzadko i u schyłku zimy, deszcz nie pada prawie wcale, w czasie przejścia zimy do lata fioletowe słońce świeci inaczej jak u nas, w lecie ogrzewa, a raczej przypieka inaczej, bo silniej niż u nas; gwiazdy

inne, bo wydają się większe i jaśniejszem błyszczą światłem, mieniącem się w najcudowniejsze i różnobarwne ognie brylantowe, i tarcza księżyca nieco większa, błyszczy jakoś inaczej, sklepienie nieba w lecie jakby włoskie niebo szafirowe, w zimie szare, mdłe, zamglone parą buchającą z ziemi, noc nawet inna: w lecie urocza, jakby co tylko po zachodzie słońca, prawie nie ma jej wcale; wśród zimy dniem nie dojrzyć zamglonego słońca, a nocą kiedy niekiedy zorza północna oświeca kraj cały różnobarwnymi, niby bengalskimi ogniami olbrzymich rozmiarów. Rzeki i jeziora inne, olbrzymie, lasy inne, bo olbrzymie, dziewicze, powabniejsze, ponętniejsze, nęcące i zapraszające do siebie. Ryby inne, bo przeważająco morskie, ptaki, zwierzęta, gady, płazy inne i zupełnie inny, bo całemi miryadami powietrze napełniający świat owadów. A ziemia? I ziemia inna, bo dziewicza, rodząca bogato, obficie i z niesłychaną szybkością, nigdy niezamarznięta więcej jak na łokieć, pod działaniem zatém niemal tropikalnego gorąca, waporująca bezustannie, a więc ciepła, pulchna i ciągle wilgotna. Roślinność i w ogóle cała wegetacya bujna niesłychanie, a ziemia cała kryje nadto w swojem łonie bogactwa nie do wyczerpania. Gdzie stąpi się nogą, to skarb. Tu złoto, tam srebro, miedź niemal czysta, ówdzie żelazo, z którego kują od razu, nadto magnes, cynk, ołów, żywe srebro, grafit, siarka i najróżnorodniejsze siarczyki, najróżnorodniejsze sole, nareszcie najróżnorodniejsze, przecudnej piękności kamienie mniej i więcej szlachetne, oraz inne niezliczone skarby! Miasta, wioski, kościoły (cerkwie), ulice, domy, sposób i styl budowli i urządzenia domowe inne, inni ludzie; odmienni, do naszych niepodobni duchowni, wojskowi, urzędnicy, inni w ogóle obywatele, tych wszystkich strój inny jak u nas, odmienne od naszych handel i przemysł, inne łowy, inny połów, inne tychże sposoby, inni mężczyźni, inne kobiety, inne pojęcia, zapatrywania, zwyczaje i obyczaje, inne rozrywki i zabawy, krótko mówiąc, wszystko tam inne, nie takie jak u nas!

Przeznaczając niniejszą pracę jedynie dla cennego, a tak bardzo dla naszego kraju pożytecznego Pisma waszego, pisać będę tylko o myśliwstwie i wszelkich łowach w najobszerniejszem tych wyrazów znaczeniu, pragnąc jednak gorąco, ażeby praca niniejsza stała się zrozumiałą należycie, zamierzam choć tylko pobieżnie poprzednio zaznajomić czytających „Łowca“ nietylko z klimatem, ale zarazem z przyrodą, krajem i mieszkańcami Syberyi, tudzież z ich zwyczajami i obyczajami, krótko mówiąc, z wszystkiem tem, co w jakimkolwiek jest związku z myśliwstwem i łowami; kreślić zaś będę wiernie, biorąc wszystko z życia rzeczywistego, na co własnemi patrzyłem oczami, albo co działo się podczas mojego tamże pobytu.

I. Podział Syberyi tudzież szkic wiosek i miast.

Nie mając zamiaru pisać geografii ani historyi tego kraju, pomijam granice i historyczny szkic Syberyi, znane już powszechnie, przystępuję wprost do podziału, ażeby czytający mając to w świeżej pamięci, mogli tem łatwiej zoryentować się w danym razie. Otóż przedewszystkiem winienem powiedzieć, że Syberya jest to jeden wielki las, przerżnięty wodami rzek: Toboł, Irtysz, Oba, Tom, Czułym, Kiernczuk, Jenisiej, Tunguska, Angara, jezioro Bajkalskie (przez mieszakańców nazywane morzem), dalej rzekami: Lena, Witim, Aldan, Amur i wielu innemi rzekami pomniejszych rozmiarów, tudzież jednym od zachodu na wschód ciągnącym się gościńcem, od którego w kilku tylko miejscach na prawo i lewo, t. j na południe i północ, także wzdłuż rzek pomniejsze idą gościńce. Po obu stronach i wzdłuż tego gościńca, przeciętnie w odległości 25 do 30 wiorst, ładnie zabudowane wioski i z wyjątkiem miast: Tobolska, Omska, Tomska, Krasnojarska, Irkucka, miast większych i po części zbudowanych na sposób europejski, liche miasteczka drewniane, nareszcie step gdzieniegdzie, tu i ówdzie nagie góry kruszcowe, zresztą jeziora i bagna. Wszystkie bez wyjątku miasta i wioski zbudowane są prawie tuż nad brzegami rzek, kształt ich podłużny, w należycie wyciągniętej linii wzdłuż i po obu stronach gościńca. W wioskach nie spostrzegłem nigdzie w domu drzwi od gościńca, od ulicy, a każdy dom od boków frontu obwiedziony parkanem z furteczką na wschód od tylnej strony obszernego podwórza; a ponieważ każdy dom ma albo sutereny, gdzie mieści się kuchnia i sypialne pokoje, albo też zbudowany jest na podmurowaniu, zwykle wchodzi się do gościnnych, często nawet tapetowanych pokojów, zwanych „gostinnice“, najpierwej przez drzwi z okienkiem (dla ujrzenia kto przychodzi) po wschodach czystych, zawsze umytych i zawsze wyłożonych, jeżeli nie płótnem, to dywanami do drzwi drugich, prowadzących do sieni i dopiero do pokojów, o posadzce zwykle lakierowanej, wyłożonej płótnem, wojłokiem albo dywanem. Tuż przy samym domu zbudowana jest komora (ambar) o silnych, dobrze okutych drzwiach, dalej piwnica z lodownią, trochę na uboczu w głębi podwórza stoją cztery słupy, nakryte dachem, te bowiem służy za wozownię, na skład gospodarskich narzędzi i zamiast stajni dla koni, bydła, trzody i owiec. Na samym końcu podwórza znajduje się niezbędna w każdym domu łaźnia parowa, do której najmniej raz na tydzień idą razem wszyscy bez różnicy stanu, wieku i płci. Na jednym z końców wsi jest etapny gmach dla aresztantów wysyłanych w Sybir, mniej więcej w pośrodku wioski zamiast hotelu, tak zwana „dworjanskaja kwartiera“ czyli pokoje dla urzędników, którzy tam wpuszczani bywają bezpłatnie, tudzież dla przejezdnych, jadących pocztą. W każdej wsi nadto jest sklepik z towarami korzennymi, tytoniem, cukrem, herbatą, świecami i innymi niezbędnymi we wsi towarami, i kilka szynków, zwanych tabakami. Są wioski, jak np. Zaledjowa pod Krasnojarskiem, ciągnące się 7—8 wiorst. Domy są kształtne, dobrze zbudowane, często piętrowe, o dość wielkich oknach, czasem z żaluzjami. Na budulec używają zwykle cedru lub modrzewia. Daleko po za wsią, w odległości 1—3 wiort, są gumna całej wsi razem, niestrzeżone przez nikogo, a mimo tego nie znam wypadku, ażeby kiedykolwiek dopuszczono się tam kradzieży. Miasteczka i miasta różnią się chyba tylko swoją większością tudzież okazałością swoich budowli, siedzibą urzędów, garnizonem wojska, ruchem handlowym, przemysłowym i w ogóle. W każdem mieście, zwykle na jednym z obszerniejszych placów w pośrodku, mieści się wielki gmach z kupieckimi sklepami, zwanymi „bazarami“. Bazarem nazywają także dzień i plac targowy. Taki bazar odbywa się tylko raz na tydzień i w tym to dniu zaopatrują się wszyscy w żywność na cały tydzień.

Po wsiach sybirskich nietylko nie ma żadnych ogrodów, ale nigdy nie widziałem we wsi ani jednego nawet drzewka. Po miastach po części już istnieją, albo bywają zakładane spacerowe ogrody. Każda bez wyjątku wieś i każde miasteczko i miasto, bliżej lub dalej od domów otoczone jest parkanem lub sztakietami, co zowie się „poskotiną“. W obrębie tego otoczenia pasą bydło, konie, trzodę i t. d. Zaraz za tą poskotiną jest las czyli „tajga“.

Syberya w ogóle dzieli się na wschodnią i zachodnią, a każda z tych dopiero na gubernie, „obłasti“ (obwody) i kraje, np. gubernie Tobolska i Tomska liczą się do zachodniej, a Jenisiejska z krajem Turuchańskim oraz Irkucka z obłastiami Irkucką i Zabajkalską do wschodniej Syberyi. Krajem Amurskim osobny rządzi gubernator. Gubernie dzielą się na okręgi, okręgi zaś na „wołostie“ (gminy), a te ostatnie na wsie czyli „dierewnie“ i sioła. Dierewnia tem różni się od sioła, że nie ma cerkwi. W dierewniach bywają tak zwane „czasownie“ czyli kaplice, w których ksiądz z pobliskiej parafii od czasu do czasu odprawia nabożeństwo. Tak siołem jak dierewnią rządzą bezpośrednio starszyzna i gołowa, nareszcie „kandidat“ (zastępca) starszyzny i kilku dziesiętników. Cała ta wiejska władza wychodzi z wolnych wyborów ogółu gospodarzy, „obszczestwa“, którzy także i wiejskiego opłacają pisarza. Całą „wołostią“, składającą się czasami z 20—30 siół i wsi, rządzi pisarz wołostny i „gołowa“, wybierani z „obszczestwa“. W każdej z takich wołosti, których w jednym okręgu bywa 4—5, jest jeden „zasidatel“ (assesor), czuwający nad wykonaniem rozporządzeń rządowych i załatwiający sprawy sądowe, przeprowadzający śledztwa i t. d. Okręgiem (ujazd) rządzi „ujezdnoj isprawnik“ (naczelnik powiatowy).

II. Klimat i wegetacya.

Klimat południowej, a nawet środkowej Syberyi, nietylko jest znośny i zdrowy, ale nawet jeżeli już nie powiem przyjemny, to bez wątpienia nie przykry. Zimą mróz wprawdzie wielki, ciężki, a za średnicę przyjąć można śmiało 35 do 40° Reaum., chociaż zwykle przez cały Styczeń, a nawet już od połowy Grudnia dochodzi do 45, a wyżej na północ do 50° Reaum i więcej. Mróz ów nie jest tak przykry, jak u nas brzydki, wietrzny, wilgotny dzień jesienny, albo zimowy przy 6ciu lub 10ciu stopniach mrozu. Suchość bowiem i cisza powietrza niewypowiedzianie łagodzą wysoką zimna temperaturę. Odwilży, sąpli u dachu nie bywa tam wcale, a uprzykrzyć się może chyba długość zimy, która trwa 7, 8, a wyżej ku północy nawet 9 miesięcy. Sanna droga ujeżdża się prędko i sanne bywają wyborne, jak niemniej w lecie wobec nieustannej suszy po szerokich w Syberyi gościńcach jedzie się wybornie. Wiatr silniejszy, czy w zimie czy w lecie, jest tam rzadkością, jeżeli zaś podczas silniejszych mrozów zjawi się wiatr, tak zwany „burjan“, wówczas nikt, stanowczo nikt, nie wychodzi z mieszkania. Zwierzęta i ptactwo kryją się do lasu, schwytane jednak przez taki „burjan“ w okolicy bezleśnej, instynktownie, jak również konie i bydło, kładą się na ziemi naprzeciw wiatru, kryjąc w śniegu nozdrza lub dziób; tym sposobem wiatr, że tak powiem, spływa po włosie ich sierci lub po piórach, i mniej jest szkodliwym i mniej niebezpiecznym. Wiatr taki trafia się bardzo rzadko i trwa zaledwie kilka minut. Ludzie, osobliwie myśliwi, zaskoczeni takim wiatrem, także naprzeciw wiatru kładą się na ziemi, twarz i głowę zasłaniają kapturem (baszłykiem) i wiatr spływa po futrze, jakie tam noszą także na zewnątrz. Podczas mojego pobytu w Syberyi ($5\frac{1}{2}$ lat) raz tylko taki zjawił się „burjan“, na nieszczęście właśnie w chwili, gdy kilku z moich kolegów wybrało się do pobliskiego miasteczka (2 wiorsty). Ujrzawszy przed sobą tumany śniegu, pędzone „burjanem“, znając już jego groźne przymioty, schronili się w gęstwinę pobliskich krzaków. Byli oni bardzo dobrze odziani, bo w podwójnej bieliznie, kaftanikach, kamizelkach, surdutach, na tych kożuch, a na wierzchu najcieplejsze na świecie futro zwane „docha“, tudzież ciepłe na nogach szkarpetki, grubem owinięte suknem, na to zwyczajne, a na nich futrzane buty, na rękach rękawiczki futrzane i takaż czapka na głowie. „Burjan“ przelatując, nie trwał dłużej nad 3 minuty, mimo tego biedacy odmrozili nogi, uszy i palce u rąk, jednemu wkrótce odpadła część pięty i dwa palce u nogi, innemu palce u ręki, a trzeciemu ucho. W środkowej i południowej Syberyi najkrótszy dzień zimowy trwa 7, a nawet tylko 6 godzin, nie czyni to jednak tak nieprzyjemnego wrażenia, przeciwnie zdaje się, że tak być musi, że inaczej nie byłoby dobrze. Wiosny i jesieni nie ma tam prawie żadnej. Wiosną, „wiosnówką“ nazywają tam tych kilka lub kilkanaście dni, w których tają śniegi i puszczają, pękają lody rzek. Dziś jeszcze 30° mrozu, za parę dni już tylko 0°, a znów za dni kilka już 20—30° ciepła. Ta szybka zmiana powietrza bardzo niekorzystnie wpływa na zdrowie, mimo tego przybysze przyzwyczajają się do tego z łatwością. Taka nagła zmiana, tak nagły skok z zimna do upałów, przeistacza nagle i całą postać sybirskiej przyrody, śniegi i lody z niesłychaną topnieją szybkością, woda napływowa przepełnia łożyska rzek, wysadza lody i rzeki puszczają, pękają z hukiem podobnym do huku dział. Czy w mieście, czy na wsi, w drodze, lub w polu, nie słychać nic prócz szumu wody, spieszącej w doliny. Już za dni kilka zieleni się trawa, łąki ścielą się kwiatem i już nastały upały, których średnica tak wysoka jak mrozów.

Wegetacya nadzwyczaj szybka i bujna. W kilka dni po stopnieniu lodów, łąki i lasy okryły się zielenią i cudnemi hożych kwiatów barwami. Syberya, to kraj pełen rzek i lasów, a nadto kwiecisty i wonny, polne i leśne rośliny i kwiaty, bujne, wonne i pełne życia, we wszystkiem o wiele naszą przewyższają roślinność. Lesiste rzek brzegi i lasy same, zdobne różami, liliami wodnemi, polnemi, fiołkami, bratkami i t. d., a łąki cudnie zasłane woniejącymi najrozmaitszych barw kwiatami. Jadąc np. traktem z Nerczyńska do Jenisiejska, mniema przybywający po raz pierwszy, że jedzie jakim najcudniejszym parkiem angielskim. Na prawo i na lewo całe łany to amarantowe, to zielone, to białe, to różowe, niebieskie, lub żółte, a wśród nich także po obu drogi stronach ręką Stwórcy wszechświata zasadzone olbrzymie kląby, foremne i kształtne, okrągłe i piramidalne, bo począwszy od najniższych na kraju krzewów, stopniowo do większych i większych drzewek i drzew z najwyższem w pośrodku drzewem, stoją wspaniale, kląb jeden obok drugiego, w odległości kilku lub kilkunastu sążni. Po bezleśnych równinach całe łany piołunu, kminku i kopru, silną swoją wonią przepełniają powietrze, zresztą coraz przyjemniejszy zapach mile drażni zmysł powonienia.

Wobec nadzwyczajnej i bujnej roślinności, gospodarstwo w Syberyi na bardzo niskim stoi stopniu; mimo tego piękne rodzi się żyto, pszenica, owies, hreczka, proso, konopie i melony, których tak wiele, że sprzedają je często po jednej kopiejce za sztukę, a nasi rodacy zaprowadzili już kalafiory, szparagi, pietruszkę, selery, jarmuż i inne dotąd nieznane tam jarzyny, które zaaklimatyzowały się wybornie. Należy mi tu uwydatnić, że zboże dziś zasiane, już po 6 tygodniach dojrzałe bywa zbierane. W niektórych miejscach już wyżej ku północy nie zawsze dojrzewa należycie, mimo tego zbierają je, suszą na słońcu, lub w domowych suszarniach, i zupełnie jest dobre i do zasiewu zdolne. Z powodu licznych niedźwiedzi i innych dzikich zwierząt, do sianokosów, od orki, siejby lub do zbioru, występuje zawsze naraz cała lud-

ność wsi, pozostają w domu tylko starcy i dzieci. Grunta Sybiraków zwykle są oddalone od wsi najmniej o 20—45 wiorst. W lecie, podczas dni skwarnych, w czasie od południa do 4tej godziny nikt nie wychodzi z domu, tylko w nadzwyczajnych wypadkach jakiś ważny interes wyprowadza z domu. W tych godzinach też ulice są puste, po domach zaś prawie wszystkie okienice pozamykane.

Tak jak nagłe było przejście zimy do lata, tak samo nagle odbywa się przejście z lata do zimy. W południowej Syberyi około 1. Października, w środkowej około 1. Września, a na wyższej północy jeszcze wcześniej nagle chłodnieje powietrze, ale tylko kilka dni chłodnych; w 3 dni bowiem później zaczyna padać najpierw deszcz, do niego przyłącza się śnieg, ten pada przez 3 lub 4 doby, a w kilka dni później już 25—30° mrozu, który stopniując coraz wyżej i wyżej, nie zmniejsza się wcale aż u schyłku zimy. Jak latem nigdy nie pada deszcz, tak zimą nigdy nie pada śnieg. Pada, jak powiedziałem dopiero, przez 3 lub 4 doby ogromnemi płaty, dosięga olbrzymiej wysokości, potem osiada się powoli coraz więcej i więcej, a ponieważ zaraz chwyta coraz cięższy mróz, śnieg staje się suchy jak piasek.

III. Noce.

Sybirskie noce są tak piękne, tak urocze, wrażenie po nich tak głębokie, że wspomnienie to chyba nie wygaśnie nigdy. Zdaje mi się, iż najlepiej zaznajomię łaskawych czytających z sybirską nocą letnią, jeżeli przytoczę tu dosłownie ustęp z jednego z dawniejszych dzieł moich, a mianowicie;

„Niepodobna zapomnieć i nie wspomnieć mi o kilku nocach, jakie na wspaniałym przepędziłem Irtyszu. Nie znam nocy Neapolu, ni nocy Wenecyi, ni nocy Kairu, sądzę jednak, że mimo swej sławy, ustąpiłyby miejsca letniej nocy, jaką przyroda środkowy i północny obdarzyła Sybir. Wszak wszystkim znana owa krótka chwila, gdy w piękną pogodę skryje się słońce w góry. Nie noc to, ale miła jasność dnia, chociaż bez słońca, a taką właśnie wśród lata cała sybirska noc. Ale któż zdoła opisać ten spokój, tę ciszę, tę świeżość, to życie i cały ten urok w przyrodzie? Któż zdoła rzetelnie przelać na papier lub płótno to dzieło najwyższego mistrza, wobec którego czemże jest pędzel, choćby najznakomitszego artysty malarza, czem pióro choćby najwyższego poety? Niechaj spróbuje artysta, niechaj spróbuje poeta, niechaj już niedaleko ujścia Irtysza do Oby nocą podpłynie w pobliże lewego brzegu tej wspaniałej rzeki, niechaj usiędzie na przodzie barki, a barka niech płynie choć szybko, a jednak spokojnie, jednak tak cicho! I niechaj wpatrzy się, zatopi w te cuda prawdziwego piękna, a wypadną z ręki i pędzel malarza i pióro poety. Na prawo prawie nieprzejrzane, ciche i na pozór spokojne wody Irtysza, gładkie i połyskujące jak metalowe zwierciadło, a tam daleko, u schyłku widokręgu, na samym nieba skłonie, cudnej piękności ciemny szafir nieba, a na nim tu i ówdzie wielkich, jakby niedawno rzuconych, bo na niebios sklepieniu jeszcze drżących, jasnych gwiazd nie wiele, a wyżej cokolwiek błękit tak piękny, tak śliczny, takim jakimś boskim przemawiający spokojem i taką powagą, a jednak tak jakoś dziwnie wesoły, taką przemawiający radością, że chyba tam mieszkanie aniołów, otaczających niebieskiego Ojca! A spuszczając stopniowo wzrok swój na lewo, aż tam na zachód daleki, błękit blednieje i coraz bledszy, blado różową przybiera barwę, a róż ten miły i blady, jak tchnienie, zlewa się niżej z jasnością śnieżnej, srebrnej białości, tonącej w złocie słonecznego blasku. A przytem cała przyroda, jakiemże nie do opisania żywem tchnie życiem? Każde drzewko, każdy krzaczek tak bujny, każda roślina tak świeża, tak jędrna, każdy listek czy drzewka, czy trawki, tak świeżo zielony, a każdy kwiatuszek tak barwny i wonny, tak wesoło, tak śmiało wzniósł w górę swą główkę, wygląda tak hożo i taki szczęśliwy, tak szeroko rozwarł swój kielich, że zda się pełnemi usty chwyta perły rosy i pełną piersią świeżem i wonnem oddycha powietrzem. A we wszystkiem ład taki, wszędzie uśmiech pełen wdzięku, we wszystkiem, w całości czarująca harmonia, wszystko nęci, zalotnie wabi, zaprasza do siebie i brakuje tylko — naszego słowika. Jeśliś artystą, jeśliś poetą, wobec takiego piękna przyrody zapadniesz w ekstazę podziwu, otrząśniesz chociaż na chwilę co ziemskiego w tobie, a duch twój z czarującą zleje się harmonią i uleci wysoko — tam, do aniołów i do Boga! A jeśli w łonie twojem przytłumisz wrażenia i chwycisz za pędzel lub pióro, to rzuć jedno i drugie, boś już nie artystą, już nie poetą, tyś tylko — człowiekiem! Ale chwila owa, która cię takim napawa urokiem, jakżeż krótka ona! Zanim zdołasz nasycić wzrok, nakarmić duszę cudami tego prawdziwego piękna, już po złotej słońca kąpieli, już — prawie tuż od zachodu, olśni cię blask pierwszych wschodzącego słońca promieni, ziemia nową, poranną, jaśniejszą przywdziewa szatę, nikną lekkie cienie, ziemia nowem oblewa się światłem, i jeszcze chwila, jeszcze chwila tylko, a ukaże się słońce i znika noc, a z nią urok cały. — To letnia sybirska noc.“

Pisząc o letniej, niepodobna nie wspomnieć o nocy zimowej. Podczas wielkich, ciężkich mrozów, przyświeca wprawdzie księżyc dość jasno, ale wobec pary, bezustannie buchającej z ziemi, księżyc jest prawie zawsze zakryty mgłą, a słynna zorza północna świeci tylko czasami, a i to aż na dalekiej, prawie podbiegunowej północy. To zaś, co u nas w Europie nazywają zorzą, odblaskiem, odbiciem zorzy, nie ma zaprawdę żadnego nawet w przybliżeniu podobieństwa do rzeczywistej zorzy północnej. Raz tylko jeden, a mianowicie przed kilku czy kilkunastu laty, widziałem w naszym kraju zjawisko do zorzy nieco zbliżone. Tło nieba po kilkakroć zmieniało swą barwę. Rzeczywista zorza zupełnie wygląda inaczej. Podczas całego mojego w Syberyi pobytu miałem sposobność raz tylko obserwować to piękne zjawisko niebieskie. Która była godzina, nie pamiętam, wiem tylko, że była to noc dość późna i o ile mi się zdaje niedaleko północy. Mrozu było przeszło 40°. Niebo było pogodne, czyste, ale nie widziałem na jego tle ani gwiazd, ani księżyca, i było dość ciemno, para nie buchała z ziemi, to bowiem następuje zwykle dopiero przy mrozie 44 albo 45°. Nagle całe niebo pokryło się lekkiemi chmurkami w kształcie rybich łusek. Chmurki te wydawały się jakoby ruchome bałwany, które jakaś niewidoma ręka na wszystkie roztrąca strony. Zderzenie takich dwóch chmurek ze sobą wytwarza słup jasny, z którego na cały widokrąg i na całe tło nieba wypływa światło niewysłowienie miłe dla oka, zupełnie podobne do bengalskich ogni, ale rozmiarów olbrzymich. Każde nowe zetknięcie się jednej chmurki z drugą wszystko nowem i odmiennej, przecudnej barwy oblewa światłem, i gdy dopiero co wszystko wydawało się czerwonem, już zmienia się barwa tego światła na inną, naprzykład zieloną, żółtą białą i t. d. Ta zorza widziana była wówczas przez przeciąg czasu więcej niźli dwóch godzin, a zmianę barwy światła jednę od drugiej przedzielało zaledwie kilka minut. Jest to

tak cudne, tak miłe oku zjawisko, że napróżno siliłbym się opisać je wiernie i nie przypuszczam, ażeby znalazł się na świecie artysta czy poeta, któryby tego dokazał.

IV. Owocowe drzewa i jagody.

Syberya do ostatnich czasów nie posiadała żadnych drzew owocowych, nie miała ich nawet w południowej części kraju, utrzymywano bowiem powszechnie, że mimo największych starań padały ofiarą silnych mrozów. Przez długie lata wszelkie próby okazały się bezskutecznemi. Przed kilkunastu dopiero laty tu i ówdzie na południu powiodło się przecie zaaklimatyzować niemal wszystkie owocowe drzewa, jakie znajdują się w środkowej Europie. Natomiast jagód, osobliwie malin, czernic czyli borówek, brzuśnicy nareszcie tak zwanej smorodiny białej, czerwonej i czarnej obfitość niesłychana, poziómek mniej. Owoce te wszystkie bez porównania są większe jak u nas, a przynajmniej jeszcze raz tak wielkie. Smorodina jest to jagoda zupełnie do naszej podobna, smak atoli bez porównania przyjemniejszy. Z jagód tych przewyborne wyrabiają nalewki lub miodem zaprawiane konfitury, któremi zwykle przy herbacie hojnie raczą swoich gości. Za wiadro jagód, t. j. za ćwierć naszą, płaciliśmy najwyżej po 15 kopiejek, a że pud miodu (40 funtów) kosztował 2 rs. 50 kop., smarzyliśmy sami konfitury w wielkiej ilości. Zbieranie tych jagód bardzo jest utrudnione, nie tyle może dla wielkiej liczby niedźwiedzi, ile dla całych miryad krwiożerczych komarów, muszek, trzmielów, szerszeni, os, bąków i t. d., które kąsają niemal do śmierci i których ofiarami często, ba niemal codziennie padają konie, krowy cielęta i t. d. A ponieważ zdarzało się, że zbierający jagody padał ofiarą dzikich zwierząt, nikt odtąd na jagody nie wybiera się samotnie. Zawsze liczne, często z kilkudziesięciu osób obojga płci składające się grono wybiera się o kilka i o kilkanaście wiorst w głąb tajgi, w miarę odległości pieszo albo konno, a mężczyźni uzbrojeni w topory sybirskie i po dziśdzień jeszcze niezarzucone skałkowe gwintówki. Opowiadano mi, jak pewnego razu niedźwiedź zajadający jagody, a mianowicie smorodinę czarną, spostrzegłszy po za sobą niewidzących go zbieraczy jagód, odwrócił się nagle, przyskoczył do jednego z obrywających smorodinę, uderzył go łapą w twarz, a potem zaraz odwrócił się do swojego ulubionego przysmaku i jak gdyby nie stało się nic, obrywał dalej i spokojnie zajadał bez troski o swoich sąsiadów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O odtylcowych systemach ręcznej broni palnej.

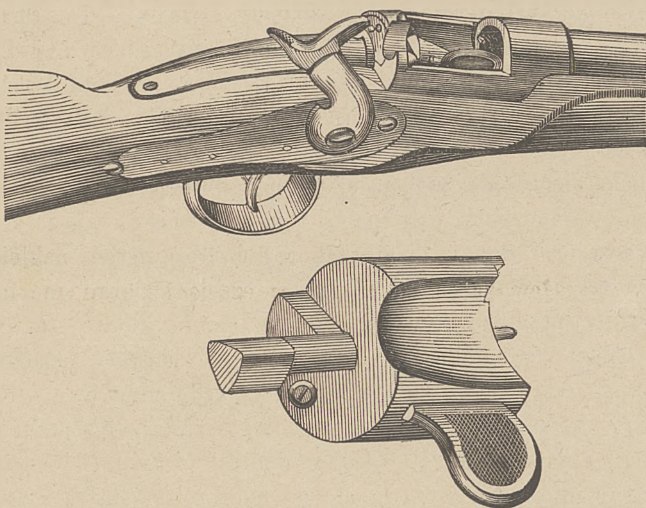
NAPISAŁ

Ludwik Weeber.

(Ciąg dalszy.)

Pod względem pojedyńczości przy osobnym zamku z kurkiem na boku, zajmuje wybitne stanowisko austryacki system Werndl (fig. P.). Ma on nabój metalowy z podwójną co naj-

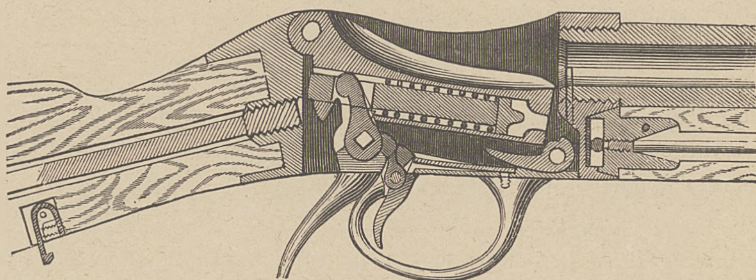
Fig. P.



mniej miarką prochu w porównaniu z dawniejszym systemem Wänzla. Ulepszenie prócz zwiększonej miarki prochu polega też na zmniejszonym zakręcie gwintów lufy i na małym kalibrze. Przy próbie oficyalnej przed usankcyonowanem przyjęciem tego systemu kazano nadpiłować łuski, a chociaż one się rozpadały i denko odlatywało, to jednak szczelność zatworu dawało zupełne bezpieczeństwo i nie było żadnych niedogodności z powodu osadu. Wytrzymałość mechanizmu wystawiano na próbę przez dni 8 w sposób wyżej opisany. Szybkość maximalna strzału wynosiła 20—23 na minutę, a donośność 1600 kroków, przyczem składność i mały ciężar (niespełna 4 kilo) stanowią niemałe zalety. Nadmienić wszakże wypada, iż pod względem donośności strzałów żadna broń wojskowa z myśliwskimi sztućcami *express* porównać się nie może, albowiem strzał z nich centralny bez elewatorów dosięga 200 metrów, a strzały z małą elewacyą na 1200 metrów są również centralnymi. Podczas gdy kule karabinowe idą w łukach, expresowe przedzierają powietrze linią prostą, obniżającą się dopiero po 200 metrach, o czem później przy broni myśliwskiej mówić będziemy.

Do systemów klapowych, przy których kabłąk, umieszczony pod ujęciem kolby, stanowi prócz osłony dla cyngla, także hebel, poruszający mechanizm zamknięcia, czyli obniżający klapę zatworową *(Blockverschluss)* i odsłaniający lufy, należy system Peabody z osobnym zamkiem i kurkiem na boku. Kurek ten u broni wojskowej jest znamieniem cechy przechodowej, najnowsze zaś modele są bezkurkowe, głównie z powodu niedogodności, jakie z kurka przy karabinkach, zwłaszcza kawaleryjskich, w użyciu wynikają. Ulepszeniem powyż-

Fig. Q.



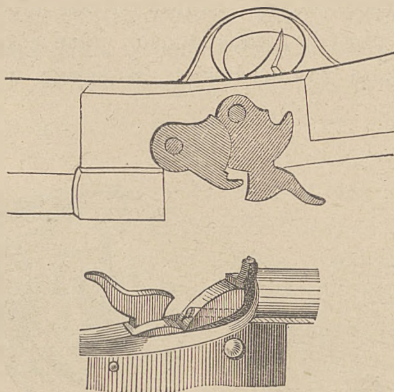
szego systemu jest system Henry-Martini (fig. Q.), przyjęty dla armii angielskiej. Zamiast kurka, ma uderzającą spręPage

żynę spiralną, umieszczoną w klapie zatworowej. O naciągniętym lub spuszczonym stanie tej sprężyny ostrzega osobna wskazówka czyli markier, samodzielnie na boku przy ujęciu funkcyonujący, a służy on zarazem do spuszczania sprężyny w potrzebie. Ważne to ulepszenie ma również myśliwska broń angielska t. z. *hammerless*, o czem w dalszym toku rzeczy nadmienimy. Tylko Teschnerówki mają oddzielną od całego mechanizmu zastawkę dla sprężyn, na którą zawsze uwagę zwracać trzeba. Nowa broń armii angielskiej wymaga czterech chwytów, ma jednak tak jak poprzedzający ją system Snidera z bocznym cylindrem tę niedogodność, iż nabój z całą precyzyą w lufę nie wsunięty, staje się przyczyną nietylko opóźnienia w strzale, ale też może nadwątlić cały mechanizm. Nasze łamane łożyska myśliwskie nie znają tej niedogodności, a jednak można nadwerężyć szczelność spojenia przy silnem zamykaniu, podnosząc samą lufę z wysuniętym nabojem bez pomagania równoczesnem podnoszeniem kolby i naciskaniem płyty zatworowej ku lufie, czem się przypadkowemu wysuwaniu nabojów podczas zamykania najskuteczniej zapobiega.

Plönies wymienia 4 najlepsze systemy w następującym porządku: Werder, Henry-Martini, Beaumont i dwa systemy Vetterli. Werder ma zamknięcie korbowe, na sposób karabinów pruskich, włożony nabój, jakkolwiek korba doprowadza na miejsce właściwe System ten ma wprawdzie kurek osobny, ale spełnia on dwie funkcye, bo oprócz własnej gotowości do strzału, powoduje zamknięcie. Szybkość strzałów w systemie Werdera jest pierwszorzędną, niedogodnym jest tylko kurek, szczególnie dla konnicy. Przy spiralnych sprężynach broni bezkurkowej odpada ta niedogodność, dotyczy to jednak tylko broni jednostrzałowej, bo małej niedogodności kurków u broni myśliwskiej nie równoważy ta niekorzystna dla trwałości i niebezpieczna komplikacya mechanizmu, jakiej wymaga jeden hebel, przeznaczony do obsługi dwóch sprężyn obu luf i extraktora, pomijając już niedoskonałość assekuracyi osobnej i nie samodzielnej, którą mają np. Teschnerówki, tudzież brak samodzielnego markiera dla sprężyny. Werder odznacza się zresztą tem jeszcze, że nie ma żadnej śruby, tylko czopy, utwierdzone w lewej płycie pochwy zamknięcia. Na czopach tych osadzony jest cały mechanizm, który po odjęciu prawej płyty można bez narzędzia ręką rozebrać.

Amerykański rusznikarz Remington jest wynalazcą systemu swego nazwiska. Pomysł to genialny, istne jajo Kolumba w swoim rodzaju (fig. R.). Klapa zatworowa podparta jest kurkiem, który wpada w odpowiednie wycięcie. W klapie umieszczony sztyft zapałowy. Części składowych ma ten system najmniej, bo tylko 26, podczas gdy bardzo pojedyńczy Wänzl ma ich 38. Pod względem pojedyńczości zajmuje niezawodnie pierwsze miejsce. Rozpowszechniony on najwięcej w państwach europejskich. Ma jednak stronę nader ujemną i z tego powodu zaniechała Austrya uzbrojenia nim swej armii po częściowem już jego wprowadzeniu w r. 1866. Wymaga mianowicie nader starannej czystości, a prób wyżej opisanych nie wytrzymałby z pewnością. Nasza broń zbytkowa, sztućczyki i pistolety pokojowe, t. z. Floberty, mają ów najprostszy system zamknięcia, a przy małych nabojach wystarczy nawet sam kurek bez klapy.

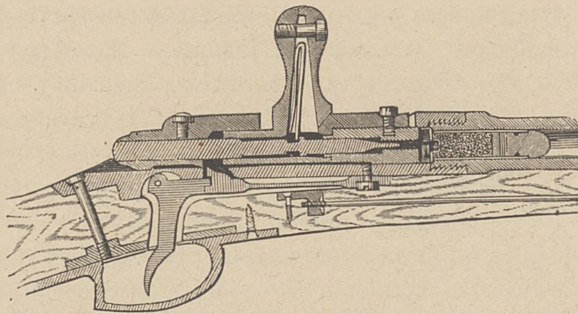
Fig. R.



Rossyjski Berdan I. nie ma podobnie jak szwajcarski Milblank-Amsler żadnej pochwy osobnej dla umieszczenia klapy zatworowej, jak np. fig. Q. (Henry); tam wszystkie części zamknięcia umieszczone są w lufie, wyciętej odpowiednio. Zapał tam centralny, kurek osobny.

System Beaumont (fig. S.) otwiera dział nowych modeli korbowych bezkurkowych. Przyjęty przez Niderlandy odróżnia się tem, że zamiast sprężyny spiralnej ma płaską, w rączce korby umieszczoną. Zresztą jest to ulepszony Chassepot. Nabój ma większy, butelkowy, t. j. zwężony przy kuli, zamknięcie jedno z najlepszych, łączy wszystkie warunki: pojedyńczość mechanizmu, pewność zamknięcia, łatwe i szybkie chwyty.

Fig. S.



Berdan II. (fig. T.) najnowsza broń rossyjska, ma również dwie funkcye w jednym chwycie, nabój centralny, ejektor łusek doskonały. Wreszcie Mauser, pruski karabin teraźniejszy ma otwieranie i naciąganie sprzężyny, połączone w jednym chwycie i sztyft zamiast dawnej igły.

Na tem kończymy przegląd jednostrzałowej broni odtylcowej i przechodzimy do broni myśliwskiej.

Do bezkurkowych należą systemy Dreyse, Teschner, Greener-Dougal, do kurkowych Lefaucheux i Lancaster. Konstrukcya dubeltówek Dreysego wzięta jest całkowicie z modelu karabina pruskiego, tu i tam igła pędzona sprężyną spiralną, przeciska się przez kartonowe denko łuski i trafiała pierwotnie w kapsle, na przybitce tekturowej umieszczoną, przebiwszy cały nabój prochu, obecnie jest kapsla papierowa przy denku łuski, tak jak u Teschnera, naklejona. Postać zewnętrzna tej broni równie jak jej ciężar nie miły; tak zwany przyrząd rotacyjny do strzelania kulą z luf gładkich polega na tem, że króciutkie dwie rurki o cugach ze znacznym zakrętem wsuwało się w gniazdo nabojowe Rurki te miały zastąpić ciągnięte wnętrze lufy sztućcowej, jak gdyby istotnie na samej rotacyi polegała donośność i celność pocisku; zakręt gwintów u najnowszych modeli broni jest przeciwnie *ad minimum* zmniejszony. Przy tak silnym zakręcie gwintów tych krótkich rurek miałyby lufy w idealnem przydłużeniu tych cugów średniowieczną, od wieków zarzuconą ilość zakrętów; tymczasem są one gładkie, a cała reszta lufy, naturalnie szersza, wcale już nie wpływa na dalszy pęd pocisku. Jest to zaprawdę norymberski towar dla starych dzieci, a pomijając niedogodność w użyciu w skutek zacinania się tego przyrządu w lufach i trudność wydobycia go w potrzebie, jest istotnym balastem w torbie myśliwskiej, a oraz jawnem *testimonium paupertatis*. Zatrzymaliśmy się przy nim tak długo jedynie dla poparcia twierdzenia naszego, wyrażonego w „Łowcu“, iż nader oględnie przyjmować należy niektóre pomysły

nowoczesne. Zamiast kurków są u Dreysówek spiralne sprężyny z odpowiednią assekuracyą. Pierwsza ta bezkurkowa broń myśliwska odstręczała od siebie dawnych rutynistów nietylko przydłużeniem luf, t. j. wystającemi pochwami sprężyn, inkrustowanemi wszelako i grawirowanemi, ale też brakiem luki między kurkami, która to luka była dla nich przy broni perkusyjnej wizyrem w mroku i w szybkich strzałach.

Ulepszeniem Dreysego jest system Teschnera (fig. U.), co do formy już tem samem bardziej pociągający, że lufy leżą, jak dawniej, gładko przy łożu i nie wystają poza nie. Zamiast sprężyny spiralnej działają sprężyny płaskie, jak u zamków perkusyjnych, cienki papierowy nabój pęka po strzale równo, daje zatem większą jednostajność śrótów i w przechodzie przez lufę. Hebel wzięty jest z systemu Lefaucheux, a przy nim umieszczony excenter Dreysówki porusza extraktora i naciąga obie sprężyny. Naboje nie zacinają się tak jak inne tekturowe, bo skówki ich krótkie, a reszta rurki papierowej jest nieco węższa od kalibru gniazda. W czystej i rdzą nie przetrawionej broni funkcyonują doskonale, zresztą jest też zastawka, przy ujęciu kolby koło warkocza umieszczona. Zalety jego są następujące: 1. szybkość w nabijaniu, 2. większa w stosunku do spiralnej sprężyny Dreysego trwałość sprężyny płaskiej, bijącej, 3. o stanie nabitym lub nienabitym, właściwie o możliwości strzału, zawiadamia ustawienie rączki asekuracyjnej w kierunku poprzecznym lub podłużnym, 4. bardzo szczelne (rzekomo) zamknięcie, 5. ostre uderzenie kulą okrągłą. Stronę ujemną tego systemu wyjmuję z zeszłorocznego rocznika „Łowca“: Naciąganie kurków ukrytych w ujęciu strzelby systemu Teschnera, z równoczesnem wysuwaniem i opadaniem luf połączone, odbywa się za pomocą excentra, który też porusza ektraktora nabojów. Komplikacya ta wywołuje przedewszystkiem tę niedogodność, że chcąc być gotowym do strzału, trzeba bardzo pamiętać o assekuracyi czyli zastawce kurków, którą po poprzedniem zaassekurowaniu należy skręcić, aby broń wypaliła. Konieczność tej assekuracyi wypływa ztąd, że przy zamkniętej broni nie widzi się, czy kurki są odwiedzione lub spuszczone. Hebel i połączony z nim excenter, doskonały w zastosowaniu do broni jednostrzałowej, jest u broni myśliwskiej, mianowicie przy dubeltówkach, nader nieodpowiednim przyrządem. Gdy karb na haku przy lufach, powodujący przyciąganie i opadanie luf, wytrze się przez używanie, to przy otwieraniu i pociągnieniu hebla opadają lufy cokolwiek prędzej, jak w pierwotnym, niezużytym stanie tego karbu. Rzecz to na pozór mało znacząca, a jednak pociąga za sobą dalsze, ważniejsze następstwa. Nieobeznany z tą ujemnością strzelec, w pospiechu, widząc opadające lufy, zwalnia dalsze naciąganie czyli skręcanie hebla i nie naciąga kurków należycie, wtedy albo obadwa, albo częściej prawy kurek zapadnie tak słabo w karb swego walca, że przy silniejszem zamknięciu lub wstrząśnieniu nabitej broni obie lufy wypalają, albo częściej jedna tylko, t. j. prawka. Kontrolę dokładnego naciągnięcia kurków, mianowicie przy zamkach zwyczajnych, daje uczucie palca, a równocześnie dochodzący do ucha odgłos zachwyconych karbów walca; kontrola ta przy Teschnerówkach bardzo słaba i niedostateczna. Dalsza wadliwość tego systemu polega na urządzeniu assekuracyi, która nie ma żadnego związku z resztą mechanizmu, jak np. przy wojskowym systemie Henri-Martin i przy myśliwskich hammerlessach angielskich. Assekuracyę Teschnerówek stanowi dwuskrzydłowa rączka, która na dolnym czopku czworogrannym ma krążek, osadzony pod blachą warkocza. Połowa tego krążka jest grubsza i tworzy wystające półkole, którego kant jest właściwą zastawką. Przy skręcaniu rączki trafia wystający kant zastawki na odpowiednie karby kurków, cofa je na spust walca i nie dopuszcza wypalenia. Przy najdokładniejszej nawet robocie zużycie czyli starcie kanta zastawki i karbów u kurków jest nieuniknionem przy częstem używaniu broni, a gorszem o tyle, że zupełnie niewidocznem. Następstwem tego jest mimowolne wypalania podczas otwierania zastawki, bo wytarty kant półkola wywołuje słabe zaskakiwanie kurków w karby walców, lub też nie zaskakują one wcale, a broń wypala przy otwieraniu zastawki.

Fig. T.

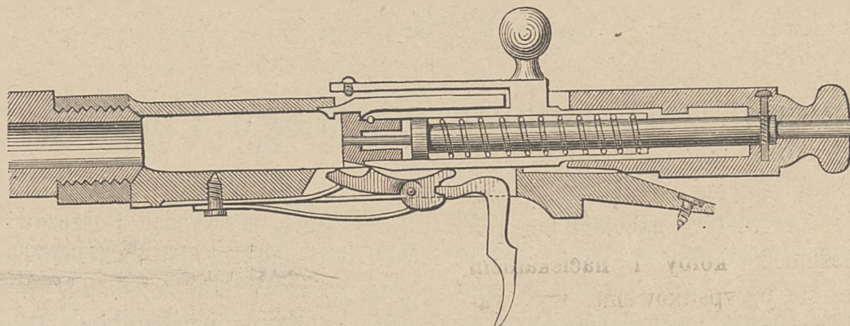
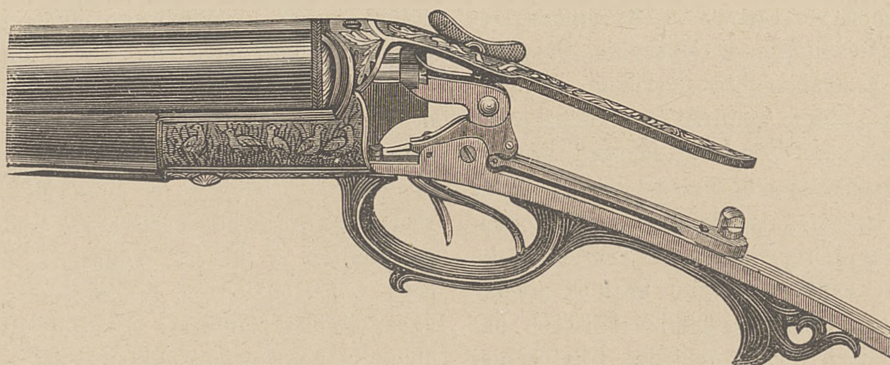
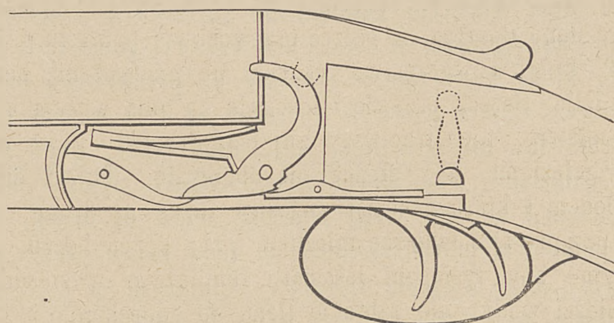


Fig. U.



Nierównie lepszą konstrukcyę mają bezkurkowe systemy angielskie Greener i Dougal, również bezkurkowy Lancaster.

Fig. V.



Przedewszystkiem różnią się one tem od Teschnera, że mają sprężyny umieszczone u przodu łożyska (baskili) pod lufą, na czem zyskuje wytrzymałość osady. Ujęcie Teschnerówek jest wydrążone i nadto osłabione umieszczeniem kurków i sprę-

żyn, tu zaś kurków w istocie wcale nie ma, a zastępuje je sztyft zapałowy, zakrzywiony odpowiednio i stojący w bezpośrednim związku ze sprężyną (fig. V.). Napięcie sprężyn odbywa się przez samo opadanie luf, a spuszczenie naciągniętych sprężyn, tak jak przy zamkach zwykłych, jest dowolne, bo spuszczając lufy, tem samem zwalnia się napięcie sprężyn, które się ostatecznie przez pociągnięcie cynglów wprowadza w stan spoczynku. Dalsze ulepszenie angielskich systemów hammerless polega na automatycznym przyrządzie assekuracyjnym, podobnie jak przy odskakujących zamkach Lankastra z markierem na boku łożyska, powyżej cynglów umieszczonym, który nie podlega niebezpiecznemu zużyciu, jak u Teschnera, markuje zarazem napięty lub spuszczony stan sprężyn, jak przy broni wojskowej Henry-Martini, a wreszcie może być dowolnie przez posunięcie wielkim palcem w przód lub w tył jako chwilowa assekuracya użytym.

(Dokończenie nastąpi.)

Międzynarodowe zarybienie granicznego Popradu łososiami.

W dniu 10. Maja 1883 r. zarybiono graniczny Poprad pod Muszyną narybkiem łososia w ilości 13.410 sztuk. Był to wspaniały międzynarodowy akt rybacki, gdyż wzięli w nim udział osobiście Polacy i Węgrzy, a przez nadesłane telegramy Prusacy i Austryacy. Węgierskie Towarzystwo rybackie delegowało z swej strony p. Piotra Lombarda, dzierżawcę dóbr Korczyn, zaś Krakowskie swego sekretarza, p. Bronisława Ryxa, a c. k. dyrekcya lasów i domen we Lwowie p. Antoniego Goralczyka, c. k. zarządcę i nadleśniczego w Muszynie. Cały obchód odbył się uroczyście, a udał się za staraniem gminy i delegowanego p. Goralczyka, który pomimo krótkiego czasu poczynił trafne przygotowania do odbyć się mającej uroczystości, zaprosił do uczestniczenia w niej przedstawicieli władz w Muszynie i Krynicy, grono pań, młodzież szkolną z nauczycielem, rybaków, mieszczan i innych gości. Przysposobiono tratwę ku środkowi Popradu, kędy się ciągnie granica między Węgrami i Galicyą, wysuniętą i chorągiewkami o barwach narodowych polskich i węgierskich przyozdobioną, aby z niej dogodnie było łososie rozpuszczać. Celem nadania większej pompy uroczystości rybackiej, postarano się o moździerze do dawania salw, a kierownik miejscowej szkoły, p. Leopold Filaczyński, wyuczył dziatwę szkolną piosenki do okoliczności zastosowanej. Wspaniała pogoda i chętne usposobienie uczestników dla sprawy rybackiej, sprzyjały dokonaniu zarybienia, nadto łososie były hoże i zdrowe, a graniczny Poprad nadawał się do ich rozpuszczania, bo należy tam do krainy pstrąga i zawiera odwieczne tarliska łososia. Rozpuszczone łososięta pochodziły z 15.000 ikry, której tego roku udzieliło niemieckie Towarzystwo rybackie, współdziałające z galicyjskiem i węgierskiem, ku rozmnożeniu cennego łososia w wodach dorzecza Wisły. Wylęgły się one w Rudzie różanieckiej, majętności baronostwa Wattmanów, w rybiarni na potoku Pancza urządzonej. Gdy straciły pęcherzyki żółtkowe, przesłała je pani baronowa dnia 9. Maja własnym kosztem do Tarnowa pod opieką stawowego Jana Boszcza, w beczce przewozowej pomysłu p. Köttla w Zipf, którą Towarzystwo rybackie do przewożenia narybku sprowadziło. Boszcz przewiózł łososięta za dnia wozem z Rudy do Jarosławia, nie straciwszy ani jednej rybki, gdyż nakrył beczkę gałęziami, aby słońce nie dopiekało, obniżał ciepłotę wody lodem, którego wziął znaczny zapas na drogę, nadto ciągle pompował powietrze miechem przy końcu beczki umieszczonym, aby tysiącom łososiąt, skupionym w stosunkowo małej ilości wody, nie zabrakło tlenu do oddechania i z tego powodu nie poginęły. Jazda trwała od 7mej godziny rano do wpół do 9tej wieczór. W Jarosławiu uperzejmy naczelnik stacyi ułatwił za staraniem barona Brunickiego, ojca pani baronowej Wattman, dalszy przewóz łososiąt nocnym pociągiem osobowym do Tarnowa, pozwalając Boszczowi jechać w wagonie przy rybach, aby miał o nich konieczne staranie, w skutek czego też żywe i zdrowe tam dojechały. W Tarnowie oczekiwał delegowany p. Ryx z pomocnikiem Jakóbem Szczerbowskim na łososie, a gdy nadeszły po północy, odebrał je od Boszcza i powiózł koleją do Muszyny, gdzie stanął dnia 15. Maja w południe. I w tej drodze, pomimo ciepła, ani jeden łosoś nie zginął, gdyż utrzymywano nizką ciepłotę wody w beczce za pomocą dodawanego lodu, aby chłonęła tlen, nadto pompowano powietrze na każdym przestanku. Wody nie zmieniono w całej drodze od Rudy do Muszyny, która trwała 30 godzin. W Muszynie na dworcu zebrali się uczestnicy uroczystości rybackiej, mianowicie burmistrz p. Józef Medweczky z radnymi miasta, reprezentant duchowieństwa ks. Widlarz, delegowany węgierski p. Lombard z innymi Węgrami, delegowany polski p. Goralczyk z personalem c. k. Zarządu, naczelnik stacyi p. Klaudyusz Dębicki, aptekarz p. Adolf Paupié, dziatwa szkolna płci obojej z narodowemi chorągwiami pod przewodnictwem p. Filaczyńskiego, rybacy, mieszczanie i inni goście z Muszyny i okolicy, oczekując nadejścia pociągu z łososiami i delegowanym p. Ryxem. Gdy pociąg nadjechał, nastąpiło na dworcu wzajemne powitanie delegowanych i reprezentantów, przy odgłosie salw z moździerzy, wiwatach tłumu ludzi i okrzykach dziatwy szkolnej na dworcu uszykowanej, która także odśpiewała z towarzyszeniem muzyki okolicznościową piosenkę pod kierownictwem p. Filaczyńskiego, a to owacyjne rozpoczęcie uroczystości wywarło poważne wrażenie na zebranych uczestnikach, jakoteż podróżnych pociągiem jadących.

Po wyjęciu z wagonu beczki z łososiami i włożeniu takowej na wózek kolejowy, którego życzliwie udzielił naczelnik stacyi p. Dębicki, udano się wśród salw z moździerzy i wiwatów nad brzeg Popradu, od Węgier przypływającego na miejsce, gdzie dla dopełnienia aktu zarybienia była przygotowana tratwa. Mieszczanie Muszyńscy przynieśli tam z wózka beczkę z łososiami, oraz balię, aby do niej po trochę wlewać narybek, łatwiej go czerpać w saczki i przenosić do rzeki. Ciepłota wody w beczce, oziębianej w drodze lodem, wynosiła tylko $+5^{\circ}$, zaś w Popradzie $+10^{\circ}$, dlatego zaczęto odlewać po trosze zimniejszą wodę z beczki, a dolewać cieplejszej z rzeki, aby zrównoważyć ciepłotę wody łososi przed ich rozpuszczeniem, czego też wreszcie dokonano. Ciekawa młodzież wyznania chrześciańskiego i izraelickiego, pragnąca co prędzej przyjrzeć się łososiętom, których jeszcze nie znała, cisnęła się do beczki i zatamowała dostęp innym uczetnikom, ale burmistrz z radnymi miasta powoli usunęli powstały zgiełk, poczem zarybienie mogło się dopełnić bez przeszkód. Naprzód ks. Widlarz pobłogosławił ceremonialnie łososie i pierwszy

wpuścił do rzeki kilkanaście podanych mu w saczku okazów, życząc delegowanym, aby pożyteczne dzieło zarybienia zostało uwieńczonem. Następnie zabrał głos polski delegowany p. Ryx i w dłuższej przemowie objaśnił cel dokonywającego się międzynarodowego aktu rybackiego i wspólnej pracy Towarzystw rybackich różnych krajów, przedstawił pouczająco ważność zarybiania rzek, oraz niedostaczność i zbyt małą pożywność pokarmu ludu, wyliczył przyczyny opustoszenia wód galicyjskich i ważniejsze środki, mogące zaradzić temu złemu stanowi rzeczy, podniósł korzyści z umiejętnie prowadzonego rybactwa, tudzież wpływ rybactwa na dobrobyt kraju i ludności, i zakończył okrzykiem na cześć Towarzystw rybackich, działających dla dobra pospolitego i na pomyślny wzrost i mnożenie się łososi w Popradzie ku wspólnemu pożytkowi nadbrzeżnej ludności polskiej i węgierskiej! Okrzyk ten publiczność powtórzyła stokrotnem: Niech żyją! *Eljenek!* Poczem wysłano na Kraków dotyczące telegramy do obcych Towarzystw rybackich, z galicyjskiem współdziałających. Po przemówieniu p. Ryxa zabrali kolejno głos p. burmistrz i delegowani pp. Lombard i Goralczyk, a gdy skończyli, przystąpiono do rozpuszczenia łososiąt. Początek zrobiły panie, uroczystości obecne, a po nich puszczali łososie kolejno burmistrz, delegowani, reprezentanci, rybacy, dzieci szkolne, mieszczanie i reszta zebranej publiczności wyznania chrześciańskiego i izraelickiego oraz płci obojga. Każdy z uczestników po kolei wstępował na przygotowaną tratwę, czerpał saczkiem łososie w balii i puszczał na wodę, podczas gdy reszta śledziła rybki okiem, jak to one zaraz stawiały się śmiało przeciw bystremu prądowi Popradu i nie dały mu się unieść, a potem zwolna tonęły i kryły się. Rozpuszczanie trwało dwie godziny, ponieważ chciano, aby wszystkie dzieci szkolne wzięły w niem czynny udział, a przez to nabrały zamiłowania do rybactwa i przekonania potrzeby ochrony ryb. Delegacya, którą wysłał zakład zdrojowy w Krynicy do uczestniczenia w uroczystości rybackiej, a która składała się z zarządcy zdrojowisk p. Zygmunta Sokołowskiego, naczelnika sądu dra. Małdzińskiego, notaryusza dra. Burtmana i naczelnika straży ogniowej p. Gulbińskiego, nie mogła zdążyć na czas, lecz przybyła po dokonanem zarybieniu, które spiesznie musiało się odbyć, aby inaczej łososięta nie osłabły lub nie poginęły. Po rozpuszczeniu wszystkich łososi i po wzajemnych podziękowaniach, jakie sobie wyrazili delegowani i reprezentanci za tak świetnie urządzoną uroczystość, która uczestników uradowała i zadowoliła, publiczność rozeszła się do domów. Trzej delegowani zaś i kilku reprezentantów udało się do sali restauracyjnej w Muszynie na skromną przekąskę. Podczas tejże bawiono się ożywioną pogadanką, pito wzajemne zdrowie delegowanych, spełniano toasty na pomyślność wspólnej pracy Towarzystw rybackich oraz mężów pracy oddanych, a ostatnie zdrowie wniesiono na łączną pomyślność rybaków polskich i węgierskich. A gdy wreszcie nadszedł pociag, którym delegowany p. Ryx miał odjechać do Krakowa, biesiadnicy odprowadzili go do wagonu, pożegnali się wzajemnie i rozeszli z błogiem uczuciem w sercu, że dokonaniem międzynarodowego aktu rybackiego, który pozostanie pamiętnym w dziejach rybactwa, spełnili czyn dobry.

Telegramy z życzeniami, nadeszłe przez Sącz i Kraków na tę uroczystość, są następujące:

1. Aranyos-Maroth na Węgrzech. „Lelkes örömmel üdvözöljük az érdemgazdag testvéregyletet nemzetközi fontosságú fáradhatlan tanykedésében. Aldás koronárra közös törekvesünk sikerét. Igaz el-ismeréssel adózunk mind azon jeleseknek, kik közös folyónk a Poprád lazacz-állományanak gazdagitásán müködnek. Isten tarcsa meg a testvér halászegyletet. A felsö magyarországi halasz egylet Gróf Migazzy Vilmos elnök.“

2. Berlin. „Rheinische Eier,
Galizischer Fleiss,
Salmlinge heuer,
Den Salmen einst Preis.“ v. Behr.

3. Wiedeń. „Wir begrüssen herzlichst die am Poprad versammelten Fischereifreunde und wünschen besten Erfolg zu dem eben sich vollziehenden grossartigen Fischereiacte. Die Lachse mögen wachsen! Oesterreichischer Fischereiverein.“

4. Lwów. „Szczęść Boże! w szlachetnych zamiarach. Włodzimierz Dzieduszycki.“

5. Kraków. „Szczęść Boże! do zarybienia Popradu łososiami. Galicyjskie Towarzystwo rybackie.“

6. Kraków. „Pozdrawiając serdecznie wszystkich uczestników miądzynarodowego zarybienia Popradu granicznego łososiami, życzymy świetnego powodzenia ich pożytecznemu dziełu. Sekcya rybna Krakowskiego komitetu c. k. Towarzystwa rolniczego.“

7. Ruda Różaniecka. „Szczęść Boże! Henryka Wattmann.“

8. Lwów. „Towarzystwo gospodarskie galicyjskie zasyła serdeczne Szczęść Boże! do aktu zarybienia Popradu. Sekretarz Greliński.“

9. Lwów. „Dyrekcya dóbr państwowych zasyła najszczersze życzenia, by dzisiejszy akt rozpuszczenia łososi w Popradzie odniósł jak najpomyślniejsze skutki, wyrażając zarazem najzupełniejsze uznanie bezustannych usiłowań i wielkich zasług galicyjskiego Towarzystwa rybackiego o podniesienie tej ważnej gałęzi krajowego gospodarstwa. Siegler.“

10. Tarnów. „Wydział Tarnowskiej Rady powiatowej łącznie z Towarzystwem rolniczem nie mogąc osobiście wziąć udziału w uroczystości zarybienia Popradu, przesyła niniejszem najszczersze życzenia szczęśliwego skutku tego patryotycznego założenia. Za prezesa: Dr. Kaczkowski.“

Serdeczne dzięki! wszystkim, którzy przyczynili się do przeprowadzenia i uświetnienia odbytego aktu zarybienia.

Dr. M. Nowicki.

Wilia Bożego Narodzenia na Otrycie.

(Dokończenie).

Takie oznaki, czyto jako refleks słonecznych promieni, czy jako zgęszczenie powietrza, przybliżające dalsze przedmioty, zapowiadają odmianę powietrza, najczęściej burze lub śnieżne zamiecie. Bazyli, choć nie góral z rodu, przybyły wraz z swą panią z domu U. z Ostobuża w Żółkiewskiem, był istnym znachorem co do zmian powietrza, o czem niejednokrotnie się przekonałem. — „A bodajże cię puszczyku!“ — woła zaperzony Brześciański — „niech Dębiński wraca, a my naprzód!“ Piszta zabrawszy psy, poszedł w przeciwną stronę w celu podłożenia ich od granicy wsi Hulskich, drużyna myśliwych

miała zająć polankę, rozgraniczającą lasy należące do Hulskich, Krywego i Chrewtów. Polanka ta wystawiona była na wiatry, więc pewnie zmiotły one z niej śniegi, ale nie blisko do niej, więc mozolny był pochód po zaspach i powolny. Brześciański stanął na górnem, lewem skrzydle, Łążyński z nieodstępnym Bazylim na dolnem, prawem skrzydle w pobliżu urwistego brzegu Sanu, a obóz myśliwski, z chłopcem strzegącym mielniczki i prowiantów, rozłożono w zacisznem miejscu pomiędzy wysokiemi ścianami jaru. Myśliwi niecierpliwie wyczekują na stanowiskach, czem też ich obdarzy św. Hubert. Kilka godzin już upłynęło. psów nie słychać, ani też trąbki Piszty. Myśliwi bawią się tymczasem pogadanką, facecyami, których miał zawsze niemało w zapasie znany z dowcipu i wesołego humoru Łążyński. Najwięcej prawił Bazyli, nieustannie klekotał nad uszami swego pana: „A poco to było iść na polowanie kiedy nic nie ma i nie będzie; nie lepiej to było wrócić do domu z panem Dębińskim. Ja śnieg odgarnę, to będzie panu lepiej stać, albo przyniosę derkę pod nogi, pewnie się nią przykrył ten szelma Dmyterko, dam ja mu!“ — „Nie chcę“ — mówi Łążyński zniecierpliwiony. — „Co to nie chcę, ja tak chcę, tak pani kazała; czy pan myśli, że ja dla siebie szedłem na tę tu biedę? dla pana idę, bo pani tak kazała, mówiąc: mój Bazylciu, wiem, że ty tam nie tęgi myśliwy, ale idź i pilnuj pana, żeby się nie przeziębił, bo wiesz, jak to on zaciekle ugania po lesie; a widzi pan, że to prawda, bo pani mi mówiła, że miała sen niedobry, żeby tylko nie było jakiego nieszczęścia. Albo to pan z przeproszeniem nie łysy, nie było to wziąć pod czapkę tego nocnego czepka, co to pani uszyła.“ — „Czyś ty zwaryował, Bazyli? ja w czepku! wyglądałbym w nim jak stara księdzowa z Polany.“ — „Et, co mi tam pan gada, księdzowa księdzową, a głowa to głowa.“ — Towarzysze kładli się od śmiechu na te gderania Bazylego — ale baczność, psy odezwały się gdzieś w dali. Naszczekiwały w jednem miejscu, więc to niechybnie dziki. Naprędce zebrana rada łowiecka uchwaliła pozostać na stanowiskach, lecz gorący acz niemłody Brześciański inaczej tę rzecz pojmował, mówiąc: „Dziki niezawodnie spuszczą się w koryto Sanu i pójdą przez pola do Zatwarnicy, a może do Chmiela lub nawet dalej, i to środkiem drogi, którą utarły fury z Lutowiskiego targu wracające; lasem nie pójdą, bo śnieg w dwa arszyny; więc radzę co tchu dążyć ku psom, które, jeżeli nie całe stado, to conajmniej odyńca osaczyły, bo ciągle w miejscu naszczekują.“ — Było nieco racyi w rozumowaniu Brześciańskiego, lecz nie wiele, jak zauważał pan Alojzy, robiąc słuszną uwagę, że dziki nie odważą się gdziekolwiek przechodzić Sanu, pokrytego trzyłokciowym śniegiem, spodem bez lodu, gdzieby mogły potonąć, o czem dziki dobrze wiedzą. Jeżeli przejdą San, to chyba między Krywem a Tworylnem, bo tam brzegi płaskie. „Jadąc, a raczej kopiąc się drogą ponad Sanem wiodącą, wyraźnie widziałem jakoby koryto wyżłobione w śniegu w poprzecz Sanu; niezawodnie wyryły to koryto owe dziki, teraz przez ogary ruszone.“ — „Róbcie co chcecie“ — rzecze Brześciański — „ja ruszam do psów.“ — Jakoż bez wahania tak uczynił, poszedł i przepadł. Psy snać dobrze musiały się dobierać do jednego lub więcej dzików, bo ruszyły z miejsca, ale nie ku nam, lecz w przeciwną stronę, bo głosy ich coraz bardziej ginęły. „Miał racyę Brześciański“ — mówi Łążyński — „szkoda, dziki uniknęły strzałów, trzeba nam było iść ku miejscu, w którem były osaczone. Co mamy robić? Godzina już późna, skoro wróci Stanisław, ruszymy do domu; wszak to dziś Wilia, a tobie Alojzy czas już do domu.“ — Ale minęła godzina, a Stanisława nie ma, co gorsza, owa złowroga mgła, którą Dębiński był spostrzegł, zbliżała się już ku Otrytowi coraz bardziej, zasuwając niebo, wreszcie w przestankach począł wiatr rwać zeschłym liściem na buczynie, który, im mroźniejszą ma być zima, tem dłużej drzewa się trzyma; coraz silniejszy zrywał się wicher, zmiatając śnieg z drzew, poczęła się wichura, bo owa mgła była wysłanką śniegu, który spadł obficie. Gdy zaniepokojeni stoimy i radzimy, troszcząc się szczególnie o Brześciańskiego, który nie znając miejscowości, mógł się zbłąkać, a nawet zginąć, naraz pada w pobliżu nas strzał i odzywa się głos Józefa: „pilnuj!“ Aloizy Strzelecki pali do samury, stado około 6 sztuk wiodącej, Łążyński strzela do drugiego dzika. Samura dostała poza ucho i padła w miejscu, zarywszy się w śniegu, młody zaś odyniec, do którego strzelał Łążyński, trafiony, bo mocno farbował, poszedł dalej ze stadem, idącem gęsiego, jak zwykle w wielkim śniegu. Na czele idzie zawsze najstarszy odyniec lub samura, jako najwięcej sił do torowania drogi mające. Samura w istocie była stara i duża, wleczemy ją więc *viribus unitis* do obozu, a tam chłopak owinąwszy się w derkę, spi jak zabity przy napół wygasłem ognisku. Klaczy nie było. Józef kopnięciem nogą zbudził chłopca, pytając: „A hde mełnyczka?“ — Zaspany chłopak patrząc ogłupiałemi oczyma, mówi: „Baczu utikła“ — „Ażeb tebe spohanyło!“ — ryknął Józef. Wnet doszliśmy przyczyny ucieczki klaczy: dziki przechodziły przez nasze obozowisko i spłoszyły klacz, która zerwała sznur z drzewa i pomknęła prawdopodobnie do domu; na szczęście pozostały prowianty. Posilamy się więc zgłodniali i radzimy, co się też stało z Stanisławem, trąbimy, strzelamy to pojedyńczo, to wszyscy razem na komendę, a potem słuchamy, czy trąbka lub strzał nie odpowie, ale nic nie słychać, bo wiatr wyje szalenie. Nam było dosyć zacisznie i wygodnie, zadymka mniej dawała się we znaki. Chłopak zarzucił na głowę „cidyło“, rodzaj peleryny, przyszytej do kołnierza „czuhoni“, krótkiej góralskiej bundy, my zaś we czterech przykryliśmy się ową derką i żartujemy z naszego położenia, przepowiadając sobie, że tu odprawimy wilię. Bazyli po swojemu mruczy jak niedźwiedź: „A co, nie mówiłem, że będzie źle, było słuchać; ale Bazyli niby głupi, a on mądrzejszy od tych, co z książek czytają. Co tam biedna pani powie, że nie wracamy, umrze, dalibóg umrze ze zmartwienia.“ — „A niechże cię licho porwie, nieznośny zrzędo, puszczyku złowrogi, a czy to pani nie wie, że nieraz już nocowałem w lesie?“ — Uradziliśmy szukać Stanisława, ale wicher coraz silniejszy, noc czarna, więc niepodobna ruszyć z miejsca. Ognisko wygasło, ślad nawet jego zawiał śnieg, a nam, chociaż między ścianami jaru, zaczęło być niewygodnie, bo wicher coraz więcej śniegu miótł w jar i zasypywał nas; ruszamy więc ku miejscu, gdzie rosła grupa świerków grubych i rozłożystych z obwisłymi konarami. W istocie były one dla nas wybornym asylem. Gęste konary niby baldachim nie dopuszczały śniegu do naszych głów. Chłopak bez rozkazu rozniecił ognisko. Grono myśliwych poczęło drzemać przykrywszy się derką, gdy nagle budzi nas szum jakiś, od ogniska zajęły się suche konary świerka, wnet całe drzewo rozgorzało płomieniem, niby słup ognisty. Pożar udzielił się sąsiednim drzewom, i wnet cała grupa świerków zapłonęła ognistą falą. Śnieg tumanami przez wiatr wzdymany przy blasku płomieni cudownemi iskrzył się barwami purpurowemi, lśnił blaskiem pereł lub kropel rosy promieniem słońce ozłoconych. Nie było obawy rozległego pożaru, bo tu przeważnie rosła buczyna, a świerki i jodły stanowiły tylko odrębne grupy. Pożar ten nie grozą, lecz raczej zachwytem nas przejmował. Wtem słyszymy jakieś choralne nawoływania, dla nas zagadkowe. Wyjaśnił je Bazyli: „Aha! to pani wysłała ludzi szukać

pana.“ Wesoły i jowialny zwykle Łążyński jakoś zadumał się, zapewne nad potęgą miłości kobiety, a żyje dotąd w tradycyi ziemi Sanockiej niezmierne przywiązanie pani Łą. do swego męża. Uderzyliśmy chórem w trąbki, wypalili wszyscy z naszych strzelb, niebawem też nadeszli Krywiańscy chłopi z panią Łą. na czele, siedzącą na koniu. Nie chcę opisywać sceny radośnego powitania, dodam tylko, że gdy tabor spuszczał się Otrytem ku Sanowi, był już dzień jasny. Wieczerzę Pańską spożyto już w sam dzień Narodzenia Zbawiciela. Lecz cóż się stało z Brześciańskim? Doszedłszy do psów, zastał tam już Pisztę, obadwaj strzelili do ogromnego odyńca. lecz spudłowali w gorączce, a dzik poszedł w Hulszczański Otryt, pociągnąwszy za sobą ogary. Począł zmrok zapadać, więc Brześciański idąc za radą Piszty, zaszedł do wsi Hulskich i tam u ekonoma zjadłszy Wieczerzę Pańską, zanocował, nie mając odwagi w nocy ciemnej i burzliwej wracać do Krywego. Klacz zerwawszy uździennicę, około 10tej w nocy przypadła do domu. Gdy ją służba spostrzegła, dała znać pani, która wnet zwołała ludzi i konno w noc tak straszną wyruszyła w Otryt w celu odszukania ubóstwianego męża i jego towarzyszów. Już miała do domu wracać zrozpaczona, gdy pożar świerków wskazał jej miejsce pobytu zawianych łowców. Opowiadał mi o tem wydarzeniu szewc Józef, opowiadali też sami państwo Łążyńscy — wszyscy oni usnęli już na wieki w mogiłach, a w nich spokojniej im i swobodniej, jak w owej nocy Bożego Narodzenia śród lasów Otrytu, śród strasznej zamieci śnieżnej, jak wreszcie śród trudów i znojów ziemskiego żywota.

N.

KORESPONDENCYE.

Donoszę o polowaniu, które u Was już zapewne rzadkością się stało, może nie z powodu braku zwierza, ale z powodu braku zleniwiałych teraz myśliwych, którym nocleg w lesie, na zimnie i nieraz na słocie, zanadto stał się dokuczliwym. O głuszcach mówić chcę, mianowicie o polowaniu na tokach. Sport to może trochę kłusowniczy, lecz w każdym razie żadne z polowań naszych nie ma tyle tajnych przyjemności, tyle niespodzianek, nie wzbudza tyle gorączki, ile tok na głuszca.

W zakątku Litwy, na granicy Mińskiej gubernii mieszkając, wśród błot i bagien, lasów całych sosny karłowej, brzeziny, wyrastającej ledwo na pół metra, mnóstwa jagód różnego gatunku i rodzaju, głuszec hula na toku w niedostępnych dla kazdego miejscach, a tylko tutejszy włościanin i myśliwy odważy się przebrodzić błoto w Kwietniu, znosić przymrozki, ba nawet i mrozy w nocy pod licho sklejoną budką, która nawet od nocnej nie zasłoni wilgoci. Ten rok był dla głuszców nader przyjaźny. Spóźniona i raptowna wiosna powstrzymała włościan kłusowników od prześladowania ich na tokach, mnie jednak udało się trafić na dni kilka słonecznych, ciepłych, tylko z małymi przymrozkami nocy. Przeprawiwszy się przez liczne błota, nieraz wyżej wiorsty szerokości mające, dostaliśmy się umęczeni, zjajani do budy. Sklecona z żerdek i kory świerkowej, słaby stawiała opór wiosennemu zimnu, a dym z rozniecónego ognia nie chciał żadną miarą skierować się do wskazanej i naumyślnie zrobionej dziury w dachu, lecz gwałtem pchał się do oczów naszych, gryząc nielitościwie te tak bardzo na polowaniu potrzebne części ciała ludzkiego. Niewielu pewno czytelników „Łowca“ przepędzało noc na puszczy. Dziwny to, doprawdy niczem nieokreślony urok ta cisza dokoła, nie cisza grobowa, lecz cisza uspionej natury, przerywana od czasu do czasu zbudzeniem się nagłem którego z jej dzieci, lub odezwaniem nocnego mieszkańca puszczy. Puszcza ma wszystko. Ma gospodarza, niedźwiedzia budującego budę czyli gawrę na zimę, borsuka w swojej jamie z zapasami na złe czasy, niby gumiennego; zająca pisarza, wypisującego na śniegu symboliczne swoje kluczki; ma też pieczeniarzy w postaci dzików, gnuśnie wylegujących się w błocie, ma złodziei, krwiożerczych rozbójników większych i mniejszych; ma pola dla zwierzyny, zasiane oziminą dla niej tylko odpowiednią, i jarzyną w postaci jagód najróżnorodniejszych, ma wreszcie różne podziały czasu, ma zegary naturalne w kwiatach i liściach, a nareszcie i żywe zegary. Tym żywym wiosennym zegarem puszczy jest jej długonogi mieszkaniec. żóraw. Już pół do drugiej. Czujesz czytelniku, iż ktoś pomału bierze cię za rękę, „panoczku, żuraw uże perwyj raz kryczał“, i rzeczywiście budzisz się i słyszysz przeciągły, donioslý a silny głos zegara puszczowego. Głos ten naprzód jeden, mnoży się, rozchodzi po puszczy w różnych modulacyach. Pierwszy ten głos zwiastuje, że królowa firmamentu, słońce, zbliża się już. Czas więc dla ptactwa otrząść skrzydełka z nocnej rosy, szukać pożywienia, troszczyć się o budowę gniazda, czas to gruchania miłosnego z oblubienicą, która w bliskości na drzewie nocuje. Budzisz się ze zbrodniczą myślą w swem łonie, z myślą przerwania ciszy śmiercionośnym wystrzałem. Umiejąc dobrze podskakiwać i mając już trochę wprawy w tem polowaniu, łatwo mi było naprzód wysłuchać, gdzie głuszec się odzywa. Leśnik idący przedemną usłyszał klapanie głuszca. Pieśni jeszcze nie słychać, tylko pojedyńcze „klap, klap-klap, klap“. Po chwili głuszec poczyna się zapalać i już słychać dokładnie namiętną pieśń jego. Teraz więc do dzieła, szybko trzy skoki podczas pieśni i cicho, choćby noga trętwiała, choćby kaszel dusił, cicho. w przeciwnym razie wszystko zepsute. Udało mi się podskoczyć do głuszca. Już go widzę na kroków 60 może, jak roztoczył ogon, nachylił szyję ku grubej gałęzi. nadął swój gardziel gruby, i pieśń cicho z głębi gardziela dobitnie się wydobywa. Strzelać jeszcze nie można, bo szaro, jutrznia dopiero słabo przyświecać zaczyna. Nareszcie po dziesięciu minutach podskakuję na kroków czterdzieści i zmierzam się. Wtem — o srogi losie! pada strzał z przeciwnej strony i głuszec ulatuje z hałasem. Mój towarzysz polowania podskakiwał z leśnikiem do drugiego głuszca, który od mego dalej jak kroków czterdzieści oddalonym nie był i po jego strzale mój głuszec spłoszony uleciał. Możecie sobie wyobrazić złość moją. Cały dzień stracony, głuszec uleciał bez strzału. Gdy tak w złości rozpaczam nad marnościami tego świata, nagle słyszę odgłos łamanych gałęzi i pluskanie po błocie ciężkiego zwierza. Przyrosłem do sosny i wnet spostrzegłem wspaniałą defiladę, jaką niejeden pułk ułanów mógłby się poszczycić. Łosie całem stadem suną koło mnie na kroków 30 może. Naprzód klempa z rozwartemi nozdrzami wietrząc na wszystkie strony, na niej łeb położyła druga mniejsza, dalej rogacz młody, z łbem leżącym na swej poprzedniczce. Kłus mocny, przewyższający najsilniejszego konia, jest zwykłym chodem przestraszonego łosia, kłusem więc defilowały koło mnie, rozrzucając błoto na wszystkie strony.

Tak zakończyłem dzień pierwszy. Wróciwszy do budy znużony i senny, napiwszy się chińskiego kordyału i pożywiwszy się nieco, spi kto może jak najdłużej, bo do wieczora zajęcia nie ma, a wieczór dopiero sprowadza jedną z najmilszych chwil polowania tego, to jest wysłuchiwanie. Zasiadłem już o siódmej godzinie i wkrótce, jak tylko zmierzchać się zaczęło, usłyszałem pierwsze zapadające głuszce. Huk skrzydeł, dobrze znany każdemu myśliwemu, przebudza z zadumy, a im więcej tego huku się słyszy, tem większe nadzieje na dzień jutrzejszy, bo czasem się trafia, iż tak głuszce usiądą, że po zabiciu jednego, i drugiego jeszcze podskakiwać można. Wysłuchałem, że wedle mego obliczenia zasiadło w bliskości koło mnie pięć głuszców, a jeden tak blisko, że widzieć go mogłem, choć strzelać niepodobna na niepewne, ciemno bowiem już dobrze było, a chybny strzał zepsułby całe polowanie na jutro. Odzywa się, klapie, podskakuje na gałęzi, ale grać nie chce, choć często wieczorem na dobre zaczyna. Lecz jak wyjść z tego położenia? O pięćdziesiąt kroków głuszec, a tu noc zapada i wracać trzeba do budy! Zrzucam więc buty i pomału, narażając się na pokaleczenie nóg, tylko w szkarpetce, wybieram się do budy, jakoż szczęśliwie się udało nie spłoszyć gracza. Znów ta sama, chłodna lecz pogodna noc Kwietniowa, i znów rano „żuraw uże kryczyt!“ z tą tylko różnicą, iż naraz dwa koguty prawie obok siebie grają. Co za rozpacz! Jak jednemu w grę wpadnę, to mogę drugiego spłoszyć, lub odwrotnie. Którego wybrać? Trudna do rozstrzygnienia kwestya. Wreszcie decyduję się i podskakuję. Raz, dwa, trzy, a czasem i cztery. Coraz bliżej, coraz bliżej, lepiej słychać, nareszcie mam głuszca nad głową, ale go nie widzę. W tej chwili „ko, ko, ko, ko“, łomot i głuszec znika mi z przed oczów. Romansowa kura uwiodła mi cel mych zabiegów. Złość, zły humor, wszystko naraz się zbiera, gdy wtem leśnik odzywa się: „Panoczku, szcze odnoho maju.“ — I rzeczywiście prowadzi, a ja daleko już słyszę zgrzyt pieśni starego koguta. Lecz już świta, chwil tylko kilka. Tym razem podskakuję na kroków trzydzieści, strzał pada i głuszec ogromny wali mi się pod nogi.

J. B.

Myczkowce 13. Sierpnia.

W ostatnich dniach Lipca dano mi znać, że w okolicy Cisny pojawiły się cztery niedźwiedzie, które trzy sztuki bydła zabiły. Wybrałem się na nie, jak zwykle widziałem ślady dzików i niedźwiedzi, lecz nikt nie strzelał, ponieważ niedźwiedzi szukać trzeba w kilku tysiącach morgów lasu, mioty są duże, a dla jarów i łomów pogonka niewprawna źle goniła. Wprawdzie mieliśmy w jednym miocie niedźwiedzia, lecz wyszedł skrzydłem na chłopa, który zaczął krzyczeć w niebogłosy i nie strzelał do niego. Wróciłem do domu bez niedźwiedzia, poleciłem jednakże, aby gdy niedźwiedź zabije bydle, pozostawiono mięso w lesie, a jeżeli później do niego chodzić będzie, mnie o tym doniesiono. Jakoż dnia 10. Sierpnia dostaję raport, że niedźwiedź w Ciśnie chodzi do mięsa wołu. Pojechałem nocą $6^1/_2$ mili, a 11go zacząłem brać mioty, graniczące z miejscem, gdzie wół leżał, lecz w czterech miotach objętości 2300 morgów nie padł ani jeden strzał, ja zaś widziałem jarząbka i dwa kosy. Psy, puszczone do miotu niedźwiedzia, gonić nie chciały. Wieczorem poleciłem memu strzelcowi, aby z miejscowym leśnym dodnia poszedł zobaczyć, czy niedźwiedź był przy wole w nocy, a następnie aby po rosie starali się go obśledzić. Strzelec mój przyszedłszy dodnia do miejsca, gdzie wół leżał, znalazł połowę mięsa zjedzonego przez niedźwiedzia, resztę zaś starannie złożoną w dół przez mysia wykopany. Od mięsa poszli za śladem na rosie ku lasowi, wyszedłszy na pagórek, stanęli dla wypoczynku około bujnego kawałka owsa w spalenisku posianego. W tym owsie usłyszeli mruczenie, strzelec mój zrywa strzelbę z pleców, a w tej chwili podnosi się niedźwiedź. Jednym strzałem powalił go na ziemię, lecz że stękał i przewracał się, podszedł bliżej i przyłożywszy lufę do głowy, dobił go. Niedźwiedź był stary samiec, czarny z żółtawo zabarwioną głową. Przywieziono go do Cisny, gdzie tłumy ludzi zbiegły się, aby oglądać niedźwiedzia, który wiele szkód w tej okolicy narobił, a którego zgubiło to, że mięso zjadłszy, chciał go zakąsić chlebem. Okazuje się, że najpewniejszym środkiem zwabienia niedźwiedzia z dużych lasów na kraj tychże jest kładzenie ścierwa. Posłałem dzisiaj do Cisny konia, którego uduszą w lesie na przynętę, a jeżeli niedźwiedź do mięsa przyjdzie, będę dalej próbował szczęścia.

Teofil Żurowski.

Z lwowskiego Wysokiego zamku.

Ze stromych szczytów lwowskiego Wysokiego zamku, jakby z obserwatoryum astronomicznego, zwykłem czynić spostrzeżenia moje, poglądając ku rozległym równinom, z wijącą się śród nich Pełtwią i spływającemi w nią z gór podlwowskich strugami. Zima z r. 1881 na 1882 była nader łagodną, wbrew przepowiedniom, wróżącym śniegi i mrozy. Również lato nie odpowiadało prognostykom, wysnuwanym z przypowieści.

Gdy Medard (8. Czerwca) płacze,
Wygrali kosiacze.

Górale tatrzańscy mówią:

Jakim Medard dniem zaświeci,
Takie będą sianożęci.

Przypowieści te nie sprawdziły się, św. Medard był suchy, a siana zgniły w skutek długotrwałych słot. Lud wierzy, iż gdy dzień św. Jana Chrzciciela suchy, lato będzie pogodne. Mówi też:

Deszcz na Wita (15. Czerwca),
Źle z jęczmiony, źle na żyta,
A gdy jeszcze Chrzciciel (24. Czerwca) skropi,
Już ich wtedy nikt nie skopi.

I Wit i Jan Chrzciciel ziemi nie skropili, a jednak połowa Lipca i Sierpień cały były mokre. Jakób (25. Lipca) tylko nie omylił; zapowiedział słotę i ziścił co przyrzekł. Górale tatrzańscy mówią:

Na Zmartwychwstanie (25. Marca),
Kiedy mgła w zaranie,
Chociaż słonko jasno wschodzi,
Znak niechybnej to powodzi,
Ile razy mgła pod ranek,
Tyle bywa świętojanek.
Pod południe gdy marcówka (deszcz z śniegiem),
Zawita nam jakubówka (powódź).

Lub: Uśmiecha się Janek, to zapłacze Kuba,
Rzeki nam wyleją, na sprzęt zła rachuba.

Według tych przypowieści robiłem spostrzeżenia i pewny byłem następstw, jakie się pojawiły. Św. Jan był pogodny, ale trzeciego dnia po Jakubie spadła gwałtowna ulewa, wody Pełtwi wezbrały i zalały kilkumilową przestrzeń.

Na kilka dni przed lipcową powodzią byłem w Kamienopolu, wsi w pobliżu Pełtwi leżącej. Podczas największego skwaru wybrałem się ze strzelbą, pragnąc parę razy stuknąć do kaczorka lub bekasa na jedynych obecnie kilku kałużach,

pozostałości po sławnych dawniej Kamienopolskich, Srokowskich i Pruskich błotach. Prócz kilku kaczek nie znalazłem na tych miniaturowych jeziorkach ani jednego bekasa. Z niczem więc wracałem ku domowi przez pola i z niemałem podziwieniem wydeptałem na środku małego pagórka, na którem były ziemniaki, kilka bekasów, podrywających się dosyć daleko. Wiadomo, że bekasy dopiero w późnej jesieni zwykły zapadać na kartofliskach lub nawet na ścierni nisko położonej. Wysnułem ztąd wniosek, że z powodu wyschnięcia błot, bekasy wiedzione instynktem, zapadły w ziemniaki, sadzone w gnojonej roli, najmilszym przybytku dżdżownic i wszelkiego rodzaju owadów, których bekasy w braku innego żeru skrzętnie poszukują. - Zdziwienie moje wzmogło się, gdym spłoszył kilka kszyków na żytnej ścierni, dosyć wysokiej i suchej. Tego zjawiska już nie umiałem sobie wyjaśnić. Może przeczuwały rychły zalew niższych błoni i wcześnie szukały miejsc bezpieczniejszych. Przenikliwość zwierząt, a szczególnie ptactwa błotnego i wodnego w przewidywaniu zmian powietrza, jest podziwienia godną. Zachowanie się zwierzyny skrzydlatej w porze najtrwalszej nawet pogody, jest najlepszym barometrem. W razie zbliżającej się słoty, burzy, ulewy, nawet przelotnego deszczu, ogarnia ptactwo w ogóle, a szczególnie błotne i wodne, jakiś niepokój, staje się ono niezwykle ruchliwem, przeciąga z miejsca na miejsce, zaledwo gdzie zapadnie, wnet wcale niepłoszone zrywa się, ulatuje i znowu zapada. Dzieje się to zapewne w skutek wrażliwości na wpływy atmosferyczne, zmiany powietrza wywołują podrażnienie nerwów, jakiego też doznają ludzie wątłego organizmu, których system nerwowy zawsze czujny i naprężony. Więc też i ptactwo poruszone prądem elektryczności wzburzonej atmosfery, objawiają nerwową ruchliwość i zapowiadają tem zmianę. Kto przeto pragnie robić spostrzeżenia meteorologiczne, niechaj nie wpatruje się w strop niebieski, niech raczej spojrzy na ziemię, na skrzydlatą rzeszę, na owe ptaki niebieskie, jak je ewangelia nazywa, a w ich zachowaniu się, w ich obyczajach więcej ciekawych rzeczy wykryje, jak słynny Champolion w odczytaniu przedwiekowych napisów na pyramidach egipskich. Ze szczytów Wysokiego zamku, gdy nie możesz z właściwszego miejsca czynić spostrzeżeń, śledząc ruchy skrzydlaczów, ponad głową twoją przelatujących, poznasz, jak bardzo mylą się meteorologowie, wyłącznie z firmamentu swoją wiedzę czerpiący. Takiemi spostrzeżeniami dzielę się z czytelnikiem. W przeddzień spadłej na nas ulewy objawił się śród ptactwa błotnego i wodnego jakiś niezwykły ruch. Stałem właśnie na owym cyplu Wysokiego zamku, z którego każdy przechodzący napawa się przyjemnością pięknego widoku, gdy nad głową moją przeciągnęło kilka kulonów, jak zwykle pogwizdując. Nie ulatywały one w prostym kierunku ku stronie południowo-wschodniej i błoniom Biłki szlacheckiej, Pikułowic, Kamienopola i Mikłaszowa, lecz zanim zapadły w pobliżu gór lwowskich, na łąkach Zniesienia, krążyły długo, rozpatrując, ażali te miejsca bezpieczne i dostarczą żeru. Kaczki mniejszemi i większemi stadami lub parkami gęsto przelatywały ponad błoniem. Niezwykły ruch panował śród skrzydlatej rzeszy, byłem więc pewnym, że wkrótce nastąpi zmiana w powietrzu, ale nie spodziewałem się tak rychłej, a najmniej gwałtownej ulewy, bo słońce zachodziło czysto, wcale nie o g l ą d a j ą c s i ę, jak mówi lud, ani też kryło się z a w a ł, t. j. za chmurę, co wróży rychły deszcz. Rezultat okazał, że miały racyę owe ptaki jakoteż bekasy, które zastałem na ziemniakach i żytnej ścierni. Opuściły one niskie miejsca, zalewane zwykle wyższym stanem wód Peltwi, Malechówki i owych chwilowych potoków czyli ścieków z gór, przytykających do Kleparowa, Zniesienia lub Zboisk. Miłe takie zalewy dla wodnego ptactwa, lecz nie dla błotnego, nie pływającego, lecz brodzącego, bo nie znajduje na nich bezpiecznego schronienia, ani też żeru, więc szuka wyżyn i na nich zapada. Nazajutrz po ulewie i burzy byłem znowu na mojem obserwatoryum, błonia wyglądały, jakby jedno rozległe jezioro, a nad niem krążyły stada kaczek. Dla błotnego ptactwa już tam nie było siedziby, młode (co czasem się przydarza nawet w Lipcu), spóźnionego lub wtórego lęgu, mianowicie u kurek wodnych lub chruścieli, wyginęły. We wsi Kamienopolu znaleziono nazajutrz po burzy 150 starych i młodych wróbli, ubitych przez deszcz nawalny. Przesiadując i gnieżdżąc się na rozłożystych topolach nadwiślańskich, strącone były z nich i zatopione. Cóż to musiało się dziać z ptactwem błotnem, które nie zdążyło przenieść się w bezpieczne miejsce, zwłaszcza że burza szalała w nocy, gdy ptaki nic nie widzą i nie latają, chyba w porze wędrówki jesiennej. Znaleziono też kilka czajek, a ile ich uniosły wody. Obserwując okolice zalane wodą, słyszałem wrzaskliwe, chrypliwe głosy rybitw morskich, mew, zwanych u nas wronami morskiemi. Pojawienie się u nas tych ptaków, nad brzegami mórz lub jezior północnej Europy stałą mających siedzibę, wróży zawsze mokrą wiosnę, lato lub jesień w miarę, w której porze się zjawią. Są one nieomylną wróżbą słot, jak też są mewy niezawodnymi zwiastunami burzy, gdy na pełnem morzu stadami krążą ponad okrętem. Tyle o roku 1882.

A. Ubysz.

KRONIKA.

Z pod Złoczowa.

W początkach Grudnia z. r. jechałem do pociągu kolei żelaznej. Śnieg dość obfity pokrył ziemię, więc tropy zajęcze, jak to mówią, jakby zapisał na puszystym śniegu, co mnie w części zdziwiło, ile że to w pobliżu miasta Złoczowa, gdzie myśliwych dyletantów nie brak i oficerów hołdujących św. Hubertowi, a jednak sądząc po mnogości tropów, zajęcy musi tam być nie mało, co niechaj będzie na chwałę wstrzemięźliwości lub też dzięki pudłom Nemrodów tego grodu. Wtem spostrzegam kundla, dążącego polem ku drodze. Dziwiło mnie to, że pies kroczy wolno, nie jak zwykle psim truchcikiem. Dźwigał on w pysku zająca. Miałem przy sobie rewolwer, wyborny Lankaster, więc oburzony palę do rabusia, trafiłem go, wypuściwszy zająca skoziołkował, strzelam raz drugi i trzeci, psisko padło nieżywe. Podejmuję zająca i przypatruję się delinkwentowi. Była to suka wielkich rozmiarów, mocno wychudzona, widocznie karmiąca szczenięta, którym żer niosła. Tak czynią wszystkie psy chłopskie, źle lub wcale nie żywione, wymykają się w pole lub do lasu i łowią co się nadarzy, zające nader zręcznie chwytają w miejscu, podkradłszy się pod samą kotlinę, kuropatwom pożerają jaja lub płód już wylęgły, a czasem i starkę uda się im pochwycić. W ogóle niszczą wszelką zwierzynę, na ziemi lub nie wysoko na drzewach się gnieżdżącą. Wprawdzie istnieje ustawa, nakazująca trzymanie psów na uwięzi w dzień, a spuszczania w nocy. Ustawa dobra, ale nie zabezpieczająca ludzi, zmuszonych przechodzić przez wieś nocą, bo psy łatwo dziurami wydobywają się z wnętrza ogrodzenia, kaleczą, a z brzaskiem dnia ruszają w pole w celu zaspokojenia głodu, którego nie ukoi homeopatyczna porcya barszczu. Nikt nie uwierzy, jak twarda dola psów włościańskich, skazanych na głód, wypędzanych na dwór podczas najtęższych mrozów, więc przeziębiają się, podpadają różnym chorobom, a najczęściej wściekliźnie

Ustawa przynosi dobre skutki w Czechach, Austryi i t. d., gdzie zagrody włościańskie dobre i wysokie nie dozwalają spuszczonym psom wymknąć się, toż pies kłusownik jest tam rzadkością, zresztą włościanie tamtejsi żywią psy swoje dobrze. U nas ustawa ta wcale nieskuteczna. Ośmielam się przeto postawić wniosek, aby ustawa nakazała właścicielom psów, jak się to dzieje w Prusiech, trzymać psy dniem i nocą na uwięzi, lub spuszczać tylko tam, gdzie zagroda dobrze opatrzona nie dozwala im się wymykać. W przeciwnym razie pies dniem czy nocą spotkany na drodze, w polu lub lesie, może być zabitym przez straż polną czy leśną, albo przez żandarmów. Przytem władza miejscowa i żandarmerya powinna ściśle przestrzegać, aby włościanie dostatecznie psy żywili, co niezawodnie nader korzystnie wpłynie na stan ich zdrowia i poskromi chęć włóczenia się poza domem. Naturalnie ustawa ta dotyczyć będzie też psów dworskich, nie zawsze starannie strzeżonych i żywionych. Polecam przeto tę sprawę uwadze Wydziału Towarzystwa łowieckiego, niemniej też Towarzystwu ochrony zwierząt, które tak rzewnie umie nawoływać: „Pamiętajcie o ptaszkach“, które tych czułych sentymentów nie potrzebują, bo wedle ewangelii „Stwórca niebieski żywi je“, niech raczej wezbrane uczuciem serce zwróci ku psom, istnym męczennikom w skutek niedbalstwa lub złej woli swych właścicieli. *G.*

Dolebów nad Dniestrem.

Moczary, ciągnące się między rzekami Dniestrem a Strwiążem, poczynające się u wsi Błozwi i Kalinowa, a kończące w pobliżu miasta Stryja, więc kilkanaście mil wzdłuż, a trzy mile wszerz, można śmiało zaliczyć do najrozleglejszych moczarów w Galicyi. Powierzchnia tych błot różna, miejscami sucha, więc przystępna, służy do zbioru szuwarowatego, ale dobrego siana, miejscami zaś przepaścista, pełna trzęsawisk i oparzysk czyli kołbani. W niektórych miejscach rośnie olszyna lub wiklina, gęsto podszyta trzcinami, rogożyną i mnóstwem burzanów, co zaś najszczególniejsza, wyrasta tam roślina, nacią i korzeniem najzupełniej podobna do marchwi, zapach i smak posiada taki sam, jak marchew pastewna, zwana białą, to też lud tutejszy nazywa ową roślinę „morchwycią“. Błota te, a szczególnie wiklinowe i olszowe, są w zimie schronieniem sarn, zajęcy i lisów, a chętnie i długo przebywają tam dziki. Skoro śnieg padnie, Dniestr zamarznie i ułatwi przeprawę przez lód, opuszczają dziki okoliczne lasy i stadami spieszą na owe błota, osobliwie na miejsca więcej suche, albowiem rośnie na nich mnóstwo owej dzikiej marchwi. W tym roku widzieliśmy z licznych tropów na Październikowych śniegach, że dziki zwykłym swym obyczajem emigrowały z lasów na te ulubione swe błota. Nie wiem, ile w tem prawdy, lecz wieśniacy prawili o czterech stadach, składających się z sztuk około 60. Lód na Dniestrze i Strwiążu puścił zupełnie, więc na razie przystęp do owych błotnych kniei był prawie niemożebny, a przynajmniej trudny, przy wyższym stanie wód obu tych rzek. Niecierpliwie wyczekiwaliśmy mrozów, żeby znajdującej się tam zwierzynie zaglądnąć w oczy. Dziki nietylko w zimowych miesiącach, ale też w letnich, osobliwie gdy posuszne, przebywają wpław rzekę i dążą na te moczary w celu użycia chłodu i pożywienia młodą, słodką marchewką. Prośne samury rade odbywają tu swe złogi, znajdują bowiem wszystkie korzystne dla siebie warunki. Przeszłej zimy w czasie polowania z nagonką olbrzymia samura, przebierając się łozami, załamała się na cienkim jeszcze lodzie, wybrnęła wprawdzie z tej biedy na grubszy lód, lecz ten był gładki jak szkło i niepokryty śniegiem, więc jak mówią Rusini „rozczachnuła sia“, a ludzie z nagonki żywcem ją wzięli na sznur. Na błotach tych prócz kaczek bywa też czasem mnóstwo bekasów i dubeltów. W Sierpniu wspólnie z naszym Starostą ubiliśmy na suchem miejscu, około 4 morgów rozległości, 80 dubeltów w przeciągu kilku godzin. *Os.*

L a s y A u s t r o - W ę g i e r. W piśmie „Statistische Monatsschrift“ podaje K. Kraff nader zajmujące daty o lasach Austro-Węgier. Według nich wynosi obszar leśny całej Europy 2,271.732 kw. km., z których 1,907.601 kw. km. przypada na Rossyę. Pomijając Rossyę, w której 35·2% całej przestrzeni jest zalesiony, ma Bośnia najwięcej, bo 45% lasu, Austrya 30·6%, a Węgry 28·3%. Najmniej zalesiona jest Dania 3·2%. W tablicach tych widzimy, że Austro-Węgry należą do tych państw Europy, które tak w stosunku do ogólnego obszaru, jakoteż do zaludnienia w ogólności, wcale begate są jeszcze w lasy, gdy wobec zachodu Europy Austrya i Węgry co do bogactwa leśnego drugie i trzecie miejsce zajmują. Bardzo bogato zalesione części Austro-Węgier znajdują się w wschodniem pasmie Karpat i w niektórych miejscach alpejskich. Natomiast w innych częściach monarchii prawie wcale nie ma lasów, jak np. wszystkie nadbrzeża morskie, węgierskie puszty, wschodnia Galicya między Prutem a Bugiem i Vorarlberg, przy którym uwzględnić należy jego wysokie położenie. Najbogatszem jest zalesienie na Bukowinie 45·3%, w Siedmiogredzie 40·9%, w Styryi 40·4%, w Krainie 39·9%, w Tyrolu 39·3%, w Kroacyi 39%, w Węgrzech zaś tylko 25·1%, tyleż w Morawii, w Gorycyi 18·6%, w Dalmacyi 16·5%, w Fiume zaledwie 15% przestrzeni leśnej. Z tych tablic wykazuje się, iż najbardziej zaludnione kraje, jak Niższa Austrya, Szląsk, Czechy nie są najuboższe w lasy, jednakowoż nawet najmniej zalesione kraje Austryi wyższo są pod tym względem jak Szwajcarya, Szwecya, Hiszpania, Niderlandy, Francya i Anglia. Sprawozdanie zaś Ministerstwa rolnictwa orzeka, że w samej Austryi znajduje się 13.935 kw. km. przestrzeni ziemi, zdolnej do lepszego zalesienia i wymagającej go. Co do gatunków drzewa dzielą się lasy Austryi na 79·585 kw. km. wysokopiennego i na 12.314 kw. km. średnio- lub niskopiennego, lub też na 26.715 kw. km. liściastego i 65.182 kw. km. iglastego, Węgry zaś posiadają 68.480 kw. km. liściastego a 22.827 iglastego lasu. *L. Z. (Jagdzeitung.)*

Warszawski „Opiekun zwierząt“ donosi: Z Konińskiego piszą do „Słowa“ o niszczeniu w ogromnych rozmiarach i w sposób barbarzyński zwierzyny. Nie wiem zaiste, pisze korespondent, czy tępienie nieszczęśliwej zwierzyny odbywa się gdzie w bardziej barbarzyński sposób, jak w Koninie. Nietylko wszystkie urzędy, lecz nawet kupcy, rzemieślnicy i restauratorowie dostarczają licznego zastępu myśliwych. Za przykładem z góry, t. j. miasta powiatowego, idą gminy. Tam poluje wójt, jego pisarz, strażnik, sołtys, polują wreszcie szynkarze, a najwięcej trapią zwierzynę Niemcy, licznie w koloniach nad Wartą osiedleni. Gdy więc śnieg upadnie, to dopiero dla nich żniwo. Starsi na saniach podjeżdżają biedne kuropatwy kupkami siedzące, a taki, który nigdy w życiu ptaka w lot nie zastrzelił, teraz staje się bohaterem. bo od razu zabija sztuk kilka, raniąc drugie tyle, chłopaki zaś z psami tropią zające i takowe szczują. Nie wspominam już o setkach kuropatw, łapanych w sidła, o zającach duszonych wiciami, zastawianemi na wychodnego przez kolonistów, mieszkających pod większymi lasami. Wszystka ta zwierzyna sprzedaje się w Koninie. Tam w każdej niemal porze roku można kupić kuropatwę za 15 groszy, a u restauratora wiszą całe stosy rozmaitej zwierzyny, i nikt w to nie wgląda, czy to zwierzyna w sidła łapana lub strzelana, i czy sprzedający prawnie ją nabył. Zwracamy uwagę właściwej władzy na podobne nadużycia.

Warszawski „Opiekun zwierząt“ daje w Nr. 7. r. b. następny artykulik: N i s z c z e n i e p t a k ó w już to za pomocą wybierania jaj i psucia gniazd, już to w skutek bezmyślnego wybijania, już to wreszcie w skutek wyławiania całemi masami ptaków przelotnych za pomocą specyalnych przyrządów, jest na porządku dziennym we wszystkich krajach. Pomijając względy estetyczne i humanitarno, ogromna większość ptaków już tylko przez swą użyteczność dla rolnictwa, przez żywienie się szkodliwymi owadami, zasługuje na ochronę. Oto krótki przegląd niektórych ptaków, przynoszących korzyść rolnictwu.

1. Kruk i sroka żywią się poczwarkami chrząszcza.
2. Drozd pożera duże miękkie robaki i ślimaki.
3. Kos przebija swym dziobem skorupy dużych ślimaków i żywi się nimi.
4. Dzwoniec (poświerka) połyka osy jak pigułki.
5. Wróbel na wiosnę jada chrząszcze.
6. Dzięcioł uderza dziobem o korę drzewa dla wystraszenia i pożarcia owadów toczących drzewo.
7. Strzyżyk żywi się robakami i komarami.
8. Wilga — szarańczami.
9. Czeczotka — zimozielem.
10. Piegża — mszycą.
11. Gil — bąkami i gąsienicami.
12. Pełzacz — stonogami.
13. Figojadka — szarańczą.
14. Szpak — ślimakami i szarańczą.
15. Szczygieł zjada nasienie ostu, tego nieubłaganego wroga naszych pól.
16. Synogarlica żywi się również ziarnem szkodliwych i nieużytecznych roślin.
17. Ortolan (trznadel lombardzki) oddaje niezmierne korzyści winnicom. urządzając bowiem swe gniazda na latoroślach i nie tykając winogron, prześladuje i zjada owady, które osiadają na łodygach i liściach.

„Gazeta Lwowska“ umieściła w fejletonie drugiego półrocza 1882 seryę artykułów, zatytułowanych: L i s t y K r a k o w s k i e, charakteryzujących wybornie życie Krakowa. Uważamy za obowiązek wyjąć dla naszych czytelników ustęp z tych Listów, dotyczący łowiectwa.

„Liczne są powody, które w różnych porach roku ściągają do Krakowa z różnych stron Polski gości, lecz liczniejsze są jeszcze przyczyny peryodycznego wyludniania się starego grodu. Do takich zaliczyć należy przedewszystkiem Sejm, który co roku ogołaca na kilka tygodni Kraków z najwybitniejszych osobistości. Zaraz obok Sejmu zapisać należy polowania, które właśnie na dobre rozpoczęły się w bliższej i dalszej okolicy Smoczej Jamy.

„Nieraz dają się u nas słyszeć głosy utyskujące — może nie bez słuszności — nad gaśnięciem ducha rycerskiego w narodzie, nad zniewieściałością młodzieży. Kierunek pracy organicznej, walki pokojowej, przyjęty roztropnie, a wykonywany dzielnie przez całe społeczeństwo polskie, odwraca niezawodnie nie ciało, ale myśl od rycerskich i wojskowych zajęć, a zwłaszcza aspiracyi; tam zaś, gdzie myśl i uczucie nie towarzyszą ciału, tam nie ma ducha i tam mechaniczne ćwiczenie pozostanie właśnie tylko mechanicznem ćwiczeniem, niezdolnem nadać duszy hartu i męztwa. Nie ulega wątpliwości, że nawet owa przez Bartelsa opiewana polska „tężyzna“ znika powoli i zaliczoną być może do archeologii towarzyskiej. A przecież, pomimo takiego kierunku pokojowej pracy, który sobie naród obrał, młodzież polska przeważnie z obowiązku służy wojskowo, służy zgodnie z tradycyą, zaszczytnie, chlubnie, jak tego dowiodły wojny francuska i wschodnia. Młodzież naszego kraju powinna koniecznie więcej oddawać się wojskowemu zawodowi, nietylko z obowiązku, ale także z zamiłowania, z przekonania. Starożytne rody powinny dawać w tej mierze przykład. Nie ulega jednak wątpliwości, że sport dobrze zrozumiany i zastosowany do naszych stosunków, a zwłaszcza koń i polowanie, więcej niż kiedykolwiek są u nas potrzebne i stanowić mogą jeden z czynników żywotności dawnych a dobrych tradycyj szlacheckich i narodowych w ogóle. Polowanie w każdem dobrem społecznem gospodarstwie zajmuje ważne miejsce. Spojrzyjmy tylko na tych osiwiałych, ośmdziesięcioletnich mężów stanu angielskich, którzy do końca zachowują w sprawach publicznych stałość zdania, roztropność i rozum, a zwłaszcza odwagę cywilną, i którzy przedstawiają prawdziwy polityczny ideał, bo łączą doświadczenie z czerstwością! Kto wie, czy nie zawdzięczają tego w znacznej części zdrowym fizycznym ćwiczeniom, życiu w polu i na koniu. Między dwiema sesyami parlamentu angielscy mężowie stanu polują, polują i polują!

„Dawniej im dziksza była okolica, im mniej znać było w niej pracy ludzkiej, tem grubszy znajdował się tam zwierz, tem więcej go tam było, tem lepszemi były i tem większą cieszyły się sławą polowania. Słowem, jakość polowania i myśliwstwa była w stosunku odwrotnym do cywilizacyi. Dziś rzeczy się zmieniły; obfitość zwierzyny i wydoskonalone myśliwstwo są w Europie oznaką cywilizacyi i postępu, jednym z dowodów pracy, pieczołowitości, zapobiegliwości i inteligencyi ludzkiej. Obfitość zwierzyny jest zarazem świadectwem poszanowania cudzej własności, a przynajmniej pilnego jej strzeżenia.

„Z tych wszystkich wyższych i niższych, dalej i bliżej sięgających powodów, z prawdziwem zadowoleniem zapisać dziś można, że myśliwstwo zadziwiające, ogromne od kilkunastu lat zrobiło w naszym kraju postępy, jak wiele innych rzeczy, aczkolwiek nie wiem, dlaczego, nie zawsze chętnie do tego się przyznajemy. Przed kilkunastu laty, zwykliśmy mówić, że tylko w Wielkiem Księstwie Poznańskiem dobre bywało i ucywilizowane polowanie. Teraz ustał przywilej Księstwa.

„W okolicy dalszej i bliższej Krakowa postęp jest widoczny, namacalny. Metamorfoza, która zaszła naokoło starego grodu, jest istotnie zdumiewającą, a przedstawia się w cyfrach, które wymownie świadczą, co może wytrwałość, przezorność i umiejętność ludzka na okrzyczanej polskiej ziemi i wśród wyłącznie słowiańskiej ludności.

„Najdzielniejszy, najskuteczniejszy i pierwszy w tej mierze przykład i popęd dały tu, jak powszechnie wiadomo, Krzeszowice, gdzie hr. Artur Potocki nietylko z zamiłowaniem, ale i z wielkiem znawstwem dołożył starań, aby podnieść stan zwierzyny i urządzić wzorowe myśliwstwo. Pielęgnowanie zwierzyny, obchodzenie się z nią umiejętne, ochranianie jej, a zwłaszcza szanowanie przepisów, powoli wchodzić poczęło w obyczaj całej okolicy i nie długo też czekać przyszło na dobry skutek.

„Myśliwstwo hr. Artura Potockiego jest bardzo znaczne, obejmuje rozległe dobra rodziny Potockich, tak w Galicyi jak i w Królestwie Polskiem. Jest ono obecnie wzorowem, a pod względem środków, którymi rozporządza, i umiejętnego kierownictwa, prawdziwie wyjątkowem. Ma tę wielką zaletę, powiedziałbym nawet urok, że łączy w sobie wszystkie przymioty polowań udoskonalonych i cywilizowanych, z wszystkiemi złudzeniami, emocyami, a nawet trudami, które stanowią istotny wdzięk polowania. Nie są to — pomimo wielkiej obfitości zwierzyny — rzezie, ale prawdziwe łowy, operacye polowe, umiejętnie prowadzone, w których zmysł organizacyjny przeważną odgrywa rolę. W tem wszystkiem zasługa nietylko pana i wodza, ale także łowczego i szefa sztabu p. Albusa, co umie odgadywać i wykonywać myśli naczelnej komendy, oraz i plany wspólnie ułożone.

„Prócz dzikiego polowania jest w Krzeszowicach zwierzyniec, dziś już obejmujący blisko sześć tysięcy morgów, a w którym przechowują się wspaniałe jelenie w liczbie około trzystu. Poluje się na nie zwykle raz w roku na rykowisku. Na polowaniu kuropatwianem pada w średnich latach z dwóch strzelb dziennie 100 sztuk. W bieżącym roku, na całem państwie krzeszowickiem, preliminowanych było pięć tysięcy dwieście czterdzieści sztuk. Z bażantarni, w której pada dla Warszawy zwykle dwieście bażantów rocznie, rozchodzą się bażanty po polach, jednak nie w zbyt wielkiej ilości, a w ostatnich czasach hodowanie nie wiodło się. Polowanie zajęcze stosunkowo największe. Kiedy przed dwunastu laty ubicie na jednem polowaniu dwudziestu pięciu zajęcy obchodzono tryumfalnie, dziś z sześcioma lub ośmioma myśliwymi, i to nie w najlepszych miotach, pada w przecięciu sto dziesięć szaraków. Podjazd rogaczy, tak w zwierzyńcu jak po za nim, z wyjątkiem dwóch miesięcy, trwa cały rok. Nareszcie na stawach w Spytkowicach jest piękne kacze polowanie, urządzane na łodziach. Siedmdziesiąt do stu kaczek pada od dwóch strzelb.

„Obok tego wzorowo, ale już na większą skalę urządzonego myśliwstwa, powstały i kwitnąć zaczynają w okolicy Krakowa mniejsze, które w skutek starań, pieczy nad zwierzyną i umiejętnego obchodzenia się z nią, znacznie się wydoskonaliły. Do takich należy polowanie w Balicach u p. Stanisława Homolacza, gdzie prócz sarn są kuropatwy w takiej ilości, iż w tym roku pięciu myśliwych ubiło ośmdziesiąt sztuk. Jest tam także śliczne polowanie zajęcze na polach. Gospodarz zaprasza na nie raz lub dwa razy do roku Krakowian, zwykle na wilię Bożego Narodzenia, i wtedy pada około 150 sztuk, a bitwa ta rozgrywa się wśród przepysznego krajobrazu, około Skały Kmity, z widokiem na Wolę, Wawel, wieżę Maryacką i kopiec Kościuszki. Postępy pod względem ilości zwierzyny są tak znaczne, że nawet za rogatkami, w bezpośredniej okolicy Krakowa, która przez długie lata wystawioną była na łupiestwo kłusowników i *Sonntagsjägerów*, p. Truskolaski, który wynajmuje od gmin polowanie i otacza je staranną opieką, doprowadził zwierzynę na Zwierzyńcu, w około kopca Kościuszki, do bardzo kwitnącego stanu.

„W dalszej nieco okolicy, w Kościelcu, u hr. Antoniego Wodzickiego, jest w małych rozmiarach ładne polowanie; pada tam dziennie do pięćdziesięciu zajęcy, są też w polach bażanty. Dobra chrzanowskie bogate są w zwierzynę, zwłaszcza w cietrzewie; toki cietrzewie w Chrzanowie, wielką i zasłużoną mają sławę.

„Można powiedzieć, że jak niszczenie i marnowanie zwierzyny jest zaraźliwem, tak samo pielęgnowanie jej wytwarza pewną emulacyę i solidarność i oddziaływa zbawiennie na całą okolicę.

„Nieco już dalej od Krakowa, w Zatorze, u hr. Augusta Potockiego, jest niewątpliwie w stosunku do obszaru najładniejsze w kraju polowanie. Polne polowanie w Zatorze ma już ustaloną sławę. Na piętnastu tysiącach morgów pada dziennie w Grudniu przeszło trzysta zajęcy, a takie polowania trwają zwykle trzy dni, tak że rocznie pada przeszło tysiąc zajęcy. Na początku jesieni jest tam śliczne polowanie kuropatwiane wśród przepysznych remiz, napełnionych wielką ilością dziko chowanych bażantów. To też w Zatorze w dniach polowań słychać nieustający ogień rotowy, który milknie dopiero z zachodzącem słońcem.

„W Krakowie zawiązała się niedawno w dawnym resursie spółka myśliwska z wkładką, jeżeli się nie mylę, 100 złr. i 150 złr. rocznego udziału. Składa się ona z dwunastu osób, a prezesem obrano p. Stanisława Homolacza, gościnnego gospodarza Balic. Spółka ta wydzierżawiła w okolicy Słotwiny przeszło dwadzieścia tysięcy morgów, nadzwyczaj zaniedbanych pod względem zwierzyny i myśliwstwa, na których dzięki staraniom i umiejętnemu gospodarstwu, polowanie szybko się podniesie i będzie jednem z lepszych, bo okolica nadaje się do tego, a kierownicy spółki są doświadczonymi myśliwymi.

„Są jeszcze rządowe lasy w Niepołomicach, w których nie brak zwierzyny, lecz brak staranności. Zarząd lasów winienby na to zwrócić uwagę, pamiętając, iż były tam kiedyś najpiękniejsze polowania królewskie. Za bytności w Krakowie arcyksięcia Fryderyka, do jego rozporządzenia oddano polowanie w Niepołomicach i w krótkim czasie uczuć się dał postęp, który był skutkiem większych nieco starań.“



INSERATY.



Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.